Prenumerata r o c z n a wynosi **10** zł. Numer o b e c n y (podwójny) **6** „

Nr. 2, 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO

ROK XXIX.



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY

KRAKÓW, STRADOM 4

1927.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote, (obecny 6 zł).

Wpłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król. Kraków

Drukarnia Związkowa w Krakowie.





Działalność Księży Misjonarzy domu Wileńskiego na Litwie i w samem Wilnie za czasów dawnej Rzeczypospolitej.

(Ciąg dalszy).

5. X. Bartłomiej Bocheński (1726).

Ażeby nie zamykać przedwcześnie szeregu superjorów wileńskich, także o X. Bartłomieju Bocheńskim choć słów kilka powiedzieć trzeba.

X. Bartłomiej Bocheński przyszedł na świat dnia 16-go sierpnia 1675 r. w Toruniu, w diecezji chełmińskiej [1]). Tam pod strzechą rodzinną wzrastał i umacniał się w pobożności chrześcijańskiej, czystości i niewinności, której następnie w Zgromadzeniu stał się nadzwyczajnym przykładem. Do Zgromadzenia Księży Misjonarzy wstąpił dnia 29 września 1692 r. w Warszawie, oprócz innych także i dla tej pobudki, że będąc jeszcze na świecie, podczas rekolekcyj odprawionych w jednym z domów Księży Misjonarzy, najprawdopodobniej w Chełmnie, u nich znalazł podziwienia godną miłość i serdeczność superjora do podwładnych księży [2]). Po ukończeniu seminarjum i nauk teologicznych wyświęcony na kapłana, w Mławie albo w samej Warszawie, ale być może, że i w Chełmnie, tamże przez dłuższy czas przebywał. Następnie od stycznia 1701 r. aż po wrzesień 1709 r. pracował dzielnie na misjach ludowych, udzielanych przez wileńskich XX. Misjonarzy, poczem powrócił do Warszawy. Jeszcze przed dniem 4 listopada 1718 r. spotykamy

---

[1]) Mémoires, I. Pologne str. 219; Cathalogus domorum et personarum Congregationis Missionis, rkps. str. 21 nr. 3.

[2]) Mémoires, I. Pologne str. 220.

go już na pewno w Mławie [1]), gdzie w dwa lata później otrzymuje nominację od superjora generalnego X. Bonnet'a, z datą w Wersalu dnia 27 listopada 1720 r., na proboszcza mławskiego [2]), a zatem i na superjora tamtejszych Księży Misjonarzy.

W tym właśnie czasie ciężkie doświadczenia spadły na nowo gruntującą się fundację Zgromadzenia; ustawiczne procesy, wytaczane przez różnych ludzi raz po raz Misjonarzom [3]), aby nietylko osłabić, ale nawet unicestwić dalszą ich działalność, zachwiały, lecz tylko na krótki czas, sercem X. Bocheńskiego tak, że dla miłej zgody już zamierzał porzucić Mławę [4]). Kiedy jednak ta jego myśl opuszczenia Mławy spowodowała nieco ostrą naganę superjora generalnego [5]), postanowił raczej znieść wszystkie trudności doczesne, byle tylko godnie odpowiedzieć swojemu powołaniu, które teraz prawie że wyłącznie zatrzymywało go w Mławie. Krótki tylko czas, bo zaledwie dziewięć miesięcy od 22 I.—3 XI. 1726 r. superjorował w Wilnie [6]), poczem powrócił na dawną swoją

---

[1]) Historia Congregationis Missionis in Polonia str. 132; Cf. Encyklopedya kościelna T. XIV (1881) 445 nr. 10; Historia Congr. Miss. I. Polonia, str. 386; K. P. str. 101: *Mława.*

[2]) Mémoires, I. Pologne str. 217; Encyklop. kościelna T. XIV (1881) 445.

[3]) Encyklopedya kościelna, ibidem XIV. 445.

[4]) Mémoires, I. Pologne str. 220.

[5]) Ibidem: „M. Bonnet... lui répondit que, si'l abandonnait la Maison de Mlawa, la Congrégation l'abandonnerait lui meme".

[6]) Nieco przedwcześnie wprowadza autor bardzo głęboko pomyślanego studjum historycznego (K. P. Zgromadzenie Księży Misjonarzy w Polsce Okres I. str. 113) *X. Bartłomieja Bocheńskiego* jako superjora do *Wilna.* Nie w r. 1725, lecz dopiero 22 stycznia 1726 przybył X. B. na Górę Zbawiciela i tego samego jeszcze roku, mianowicie 3 listopada powrócił do Mławy. O swojem przybyciu do Wilna tak się wyraża sam X. Bocheński (LMV. na ostatniej karcie ochronnej 5vo): „*Veni Vilnam* pro superioratu *(ego)* Bartholomaeus Bocheński anno *22 Januarii 1726...* Instante Illmo Epo. Plocensi ac parochianis necnon Admodum RR. DD. Cyboni et Walther ac Admodum Reverendo Domino Generale *discessi Vilnâ Mlavam die 3-tia 9-bris 1726*". Porównaj Cathalogus subjectorum in Domo Vilnensi Congregationis Missionis. p. 3.: „*Anno 1726 in Januario die 22. Adm. R. Dnus Bartholomaeus Bocheński iterato Mlavâ huc*

placówkę, przedewszystkiem na wezwanie biskupa płockiego i parafjan mławskich, przenoszących go nad obecnego superiora X. Grabickiego.

W Mławie rozwinął nader owocną działalność misyjną i duszpasterską tak, że nowem tętnem zaczęło bić życie religijne u parafjan. Poza granicami parafji pracował na misjach aż do 75 roku życia swego. Misje pod jego kierownictwem odprawiane trwały conajmniej trzy tygodnie, gdyż podług jego zdania dłuższe misje większe przynoszą owoce. Sam na misjach dwakroć dziennie kazał, a obdarzony przez P. Boga nadzwyczajną wymową, kruszył najzatwardzialsze serca grzeszników i prędko przywodził je do pokuty. Osobiście też pilnował nauki katechizmu [1]), dając wskazówki mniej biegłym, a już nigdy nie pozwalał pójść na ambonę niedostatecznie przygotowanym.

W konfesjonale pracował mimo podeszłego wieku całemi godzinami, a kiedy już sam nie mógł pójść do kościoła,

---

venit pro superioratu huius domus (Vilnensis), *qui tandam eodem anno 1726 die 3 novembris hinc discessit retro ad Domum Mlavensem pro superioratu.*

Właściwym jednak kandydatem po X. Cybonim był *X. Fabjan Cybulakowski,* który dnia 24 kwietnia 1725 pojechał ze Stradomia do Wilna (Cf. Cathalogus Missionariorum venientium in Stradom) i tam *„pro interim posteaquam ARDns. Cyboni abscesserit, regat domum* (Vilnensem) *vestram tam in spiritualibus quam temporalibus, tamquam locum tenens superioris... donec patentes veniant ab Adm. Rdo. Domino Generali pro superioratu alicujus ex sacerdotibus nostrae Congregationis* (List X Michała Mateusza Walthera wizytatora do Księży Misjonarzy wileńskich dat 16 VI. 1725). Nazywa go zarazem „virum probatum et spiritu nostrae Congregationis repletum“, a więc godnym go uznaje, aby mu powierzyć zarząd domu wileńskiego. Kiedy jednak superiorem wileńskim został zamianowany przez generała X. Bartłomiej Bocheński, X. Cybulakowski *„non factus compos votorum“* (Initia et Progressus Domus Stradomiensis. Rkps. str. 108) poszedł najpierw do Gniezna, a następnie opuścił Zgromadzenie. (cf. X. Bączkiewicz: Z Dziejów Domu Stradomskiego II. Stradom na początku wieku XVIII. [w Rocznikach obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo. Rok XIX, Nr. 1, str. 33]).

[1]) Mémoires, Pologne str. 222; 224.

kazał się tam prowadzić we większe święta, gdy napływ penitentów był znaczniejszy, aby tylko wyręczyć drugich [1]).

Jakie było jego życie, taka i śmierć — śmierć sprawiedliwego. Dnia 3 V. 1759 r. przykładnie i święcie oddał w ręce Stwórcy duszę swoją czystą i niewinną, którą za szczególniejszą łaską Bożą jakby tylko przeniósł przez ten świat [2]).

6. X. Łukasz Tykwiński (1726—1763).

Następca X. Bocheńskiego w godności superjora wileńskiego, został teraz *X. Łukasz Tykwiński* [3]). Urodził się w diecezji poznańskiej, dnia 15-go października 1683 r. Do Zgromadzenia Księży Misjonarzy wstąpił dopiero 24-go sierpnia 1707 r. w Warszawie [4]). Tam u św. Krzyża odbył seminarium, studja teologiczne i otrzymał święcenia kapłańskie Pierwszą, ale i ostatnią, raczej jedyną placówką jego pracy, było Wilno. Już w r. 1711 przybywa w miesiącu grudniu na Górę Zbawiciela i rozpoczyna pierwszy swój okres owocną i pożyteczną pracą misyjną, zrazu przy boku starszych, wytrawnych konfratrów, a następnie sam prowadzi grupę misyjną w różne strony Litwy, wzdłuż i wszerz [5]).

W listopadzie 1726 r. zostaje superjorem domu wileńskiego. Był to zatem drugi okres jego działalności. Na misjach już rzadziej występuje, za to w domu prowadzi wcale szczęśliwie wszystkie dzieła Zgromadzenia i ostatecznie kończy budowę kościoła i domu. (O X. Tykwińskim mówić można raczej ze stanowiska subjektywnego, gdyż mała o nim

---

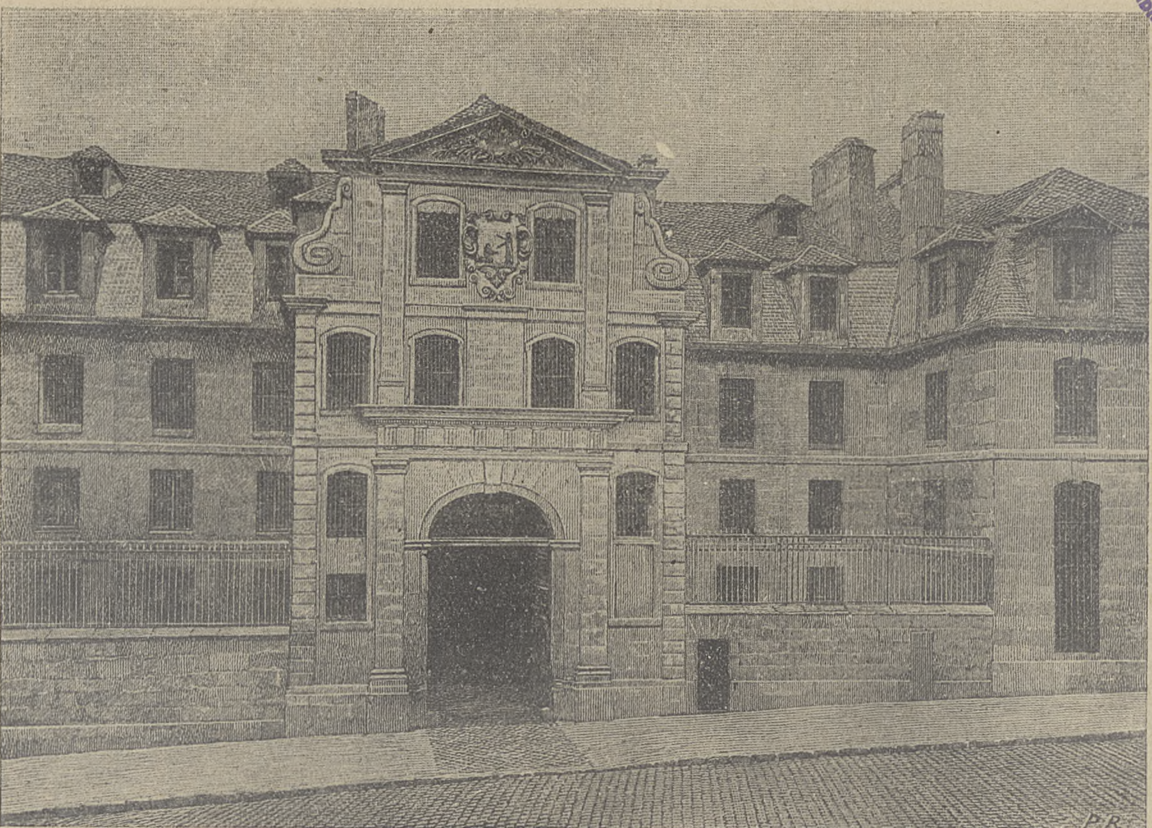
[1]) ibidem. 222/23.

[2]) ibidem. 220; 224/5.

[3]) Status Fundacyi Domu Wileńskiego Congr. Miss. 72.

[4]) Cathalogus domorum et personarum Congr. Miss. str. 22. nr. 19.

[5]) Cfr. LMV. 46 i nast.; Itinerarjum misyj wileńskich etc. (w mojej pracy Działalność Misyjna Księży Misjonarzy domu wileńskiego fol. 258—271).



Opactwo św. Łazarza, pierwotna siedziba XX. Misjonarzy aż do wielkiej rewolucji, dziś więzienie.

ilość zapisków nie pozwala wniknąć i zbadać jego duszy; w przeciwieństwie do X. Godquin'a i innych swoich poprzedników, kreślących z wielkim rozmachem dzieje Zgromadzenia, pisać nie lubiał. Dnia 18-go czerwca 1730 roku konsekrował kościół p. wezw. Zbawiciela sufragan wileński X. Jerzy Ancuta. W kilka lat później obchodzono okazale uroczystość kanonizacji św. Wincentego, którą niewątpliwie większym otoczył blaskiem spory już zastęp lewitów internów, wychowujących się pod okiem Misjonarzy na przyszłych kapłanów w rozbudowanym niedawno domu.

Seminarjum internum, założone w r. 1725 mało jednak początkowo liczyło młodzieży litewskiej i dlatego posyłano do Wilna nadliczbowych alumnów od św. Krzyża. To też niemało można naliczyć zrazu takich, którzy przybywali z Warmji, ziemi chełmińskiej, aż litewska młodzież, ale było to już w późniejszych czasach, wzięła górę. Wymagania były dosyć ostre, a zaostrzał je jeszcze w swoich wizytacjach X. Śliwicki, wielce dbały o podtrzymanie ducha św. Wincentego [1]).

Ponadto istniało jeszcze od r. 1744 seminarjum externum [2]), które osobnego zawsze miało dyrektora [3]). I tu także surowe stosowano przepisy, aby tylko godnych kapłanów przygotować diecezji. Daremnie więc szukałby ktoś w seminarjach Misjonarzy wileńskich za Rymgajła, który według aktów kapituły wileńskiej *dwa lata był* w seminarjum diecezjalnym, *dwa tylko zapisał kajety z lekcji* a potem poszedł do misjonarzy; *najmniejszeyo* o nim na Górze Zbawiciela *niemasz śladu*.

---

1) Cf. Ordinationes Visitationum. Rkps. str. 137: wizyta domu wileńskiego z dnia 24 X. 1739; str. 219: wizyta domu w Wilnie z d. 15 sierpnia 1741; str. 265: wizyta domu w Wilnie z d. 5 listopada 1743; str. 277: wizyta z 15 września 1745 nr. 3; str. 303: wizyta domu w Wilnie; str. 345 wizyta domu w Wilnie z 21 września 1749; i t. d.

2) Cf. Acta superioratus X. Pohla.

3) Cf. Ordinationes Visitationum.

Wreszcie powstały za X. Tykwińskiego dwa szpitale, pierwszy dla ubogiej szlachty tuż przy kościele [1]), drugi pod zarządem Sióstr Miłosierdzia t. żw. szpital Sawicz [2]).

Radość więc przejmowała serce X. Tykwińskiego, kiedy widział wszystkie dzieła Zgromadzenia żywotne, choć i smutek wdzierał się tam raz po raz, i obawa o bezpieczne jutro. Tylko ufność w Opatrzność Bożą i praca koiły wszystkie rany. Rozterki wciskające się z każdym niemal dniem do kraju z powodu elekcji Leszczyńskiego po śmierci Augusta II, lubo nie uniemożliwiły, to jednak utrudniały prace misjonarzy, którzy w przeciwieństwie do innych duchownych świeckich czy zakonnych w spory polityczne nie wchodzili, ale pilnowali jedynie sprawy Bożej, nawołując wszystkich do gorliwości i wytrwania w służbie Bożej i szczepiąc wszędzie kwiaty cnót. Jest to okres najowocniejszej pracy misyjnej domu wileńskiego, podjętej z miłości dla Boga i powołania swego bez oglądania się na jakiekolwiek straty doczesne. Bo też wiele wtenczas dom ucierpiał. Wojska rosyjskie biorąc niby to w obronę prawowitego króla, najechały miasto Wilno, a dowiedziawszy się o depozytach X. Bogusława Gosiewskiego, biskupa smoleńskiego u Księży Misjonarzy, w poszukiwaniu tych skarbów doszczętnie zrabowały dom tak, że przy warunkach, w jakich stanęła teraz Rzeczpospolita, dom ten do dawnych zasobów

---

[1]) Status Fundacyi Domu Wileńskiego Congr. Missionis, str. 86: „Tegoż Roku (1728) Szpital dla ubogiej szlachty przy kościele naszym będącym znacznym sumptem naszym wystawiliśmy. Do którego ubogich praedovia benedictione 23. 7-bris wprowadziliśmy et porrectis regulis pro illis conscriptis pro maiori vigilantia ad illas observandas za seniora pierwszym razem *Andrzeja Bienkiewicza* postanowiliśmy.

[2]) Ibidem, 120: „Dnia 18 Julij (1744) JW. Imć Xiądz Bogusław Korwin Gosiewski Biskup smoleński zapisał 100.000 złotych na szpital de nova radice dla chorych ubogich pod murami leżących, byle nie na zaraźliwą chorobę et in hunc finem na Erekcję tego Szpitala applikował y zapisał Pałac murowany stary na Sawicz ulicy z dawna Gosiewskich vulgo Słuszczyńskich nazwany“.

już nie powrócił [1]). Dwóch nawet księży: Kleykowskiego [2]) i Smolikiewicza zebrano do Rygi, aby za ich uwolnienie wydobyć 2000 złotych. Także wszystkie włości, należące do domu wileńskiego doszczętnie ograbiono i zrujnowano. Odbudowa wszystkiego z trudem tylko postępowała.

W r. 1754 ukończono budowę wież i facjaty kościoła, a inne przybudówki (babiniec) odłożono na następne lata.

Ostatecznie ukończono budowę kościoła dopiero w r. 1757; świadczy o tem napis na tafli marmurowej nad babińcem tegoż kościoła: „*Christo Salvatori templum hoc liberalitate Theophili Plater Tribuni Livoniae a fundamentis erectum, Munificentia Anton. Nowosielski Castelani Novogrodensis et Helenae de Littavis* ejus conjugis perfectum. *Joannis Ludovici* Palatini Livoniae et *Rosaliae de Brzostowsciis* ejus uxoris *Ferdinandi* Mareschalci Curiae M. D. L. et *Hedvigis* ejusdem prosapiae Consortis ejus necnon *Constantini Lud.* Castelani Polocensis et *Joannis* Capitanei Giegobrostensis *Platerorum* insignis pietatis primi Fundatoris Theophili Haeredum intus et ab extra munifica eorum manu *decoratum et consumatum.* Anno reparatae salutis MDCCLVII.

Dla osobistej charakterystyki X. Łukasza Tykwińskiego [3]) należy jeszcze powiedzieć, że jak z jednej strony był pobożny, dbały o porządek i regularność, tak z drugiej przyskąpy był i mało wyrozumiały, zwłaszcza dla chorych; krótko mówiąc o jego życiu: chciał być zawsze „ekonomicznym“ [4]). — Domem wileńskim zarządzał lat 37. W roku dopiero 1763

---

[1]) Cf. Inne Acta Domus antiqua, 34—54.

[2]) Chyba tylko przez pomyłkę zecera występuje X. Kleykowski w K. P. Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Polsce, str. 113 (art. X. Gaworzewskiego) a przedtem jeszcze u Smory, Księża Misyonarze w Wilnie, str. 18, jako Klejkowicz; nazwał on się zawsze i w dokumentach podpisywał „*X. Kleykowski*“.

[3]) Podobnie i w skorowidzu K. P. str. XVII przydano X. Tykwińskiemu imię św. Ludwika, podczas kiedy patronem jego był św. Łukasz ewangelista.

[4]) Cf. Relationes Visitatorum de statu provinciae.

składa swój urząd w ręce superjora X. Jana Nepomucena Tylmana, dotychczasowego asystenta domu stradomskiego w Krakowie, a sam bawi się już tylko bogomyślnością [1]).

Po dłuższych cierpieniach umarł X. Tykwiński w nocy z 29 na 30 maja 1767 r., licząc lat wieku 84, powołania 60.

7. X. Jan Nep. Tylman (1763—1782).

Oto prawdziwy następca X. Łukasza Tykwińskiego na krześle superjora wileńskiego, którego niestety dotychczasowa historja, bez podania pozytywnych faktów i ścisłych dat, zastąpiła innym, którego patronem był nie św. Jan Nep., ale św. apostoł Bartłomiej, i to w czasach, kiedy jeszcze X. Tykwiński (1726—63) rządził domem [2]). Tymczasem X. Bartłomiej ani krewnym, ani powinowatym X. Janowi Nep. nie był, a cała jego zasługa ta, że nosił takie samo, co ten nazwisko. Obu tych mężów Bożych (Bartłomieja i Jana) złączył w jedną osobę pierwszy ś. p. *Smora*, w monografji bardzo pobieżnej i mało dokładnej p. t. *Księża Misyonarze w Wilnie* [3]), przejmując bez głębszego wniknięcia wiadomość z Memoires, str. 538: „*Les deux derniers Supérieurs, MM. Tykwiński et Tylman,* trouvérent en lui (Kubusiewicz) un grand secours pour le maniement de beaucoup d'affaires d'économie ou de jurisprudence", i łącząc ją bezkrytycznie z Mémoires, str. 520 i nast., przecież ostrożnie, bo z powątpiewaniem [4]). Ale jednak tym swoim elaboratem, wymagającym w wielu miejscach sprostowań niemało, dał innym, sporządzającym nawet z daleką perspektywą history-

---

1) Cathalogus subjectorum in domo Vilnensi Congr. Miss.

2) Cfr. *Ordinationes Visitationis* (domus Vilnensis [in Monte Salvatoris]) anno 1760 peractae (w Visitationes Domorum Congr. Miss. et Ecclesiarum Parochialium eisdem annexarum etc. Rps. str. 452/4).

3) Cfr. Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim. IX: *Księża Misyonarze w Wilnie* (w Rocznikach obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo XXI. [1915] nr. 1/2 str. 90—120 oraz nr. 3/4 str. 248—280), str. 107; w odbitce (Smora, Księża Misyonarze w Wilnie) str. 20.

4) Smora, *Księża Misyonarze* w Wilnie l. c. str. 20.

czną opis dziejów tego domu wileńskiego, pretekst, że uczynili to samo [1]). To też po rozproszeniu i zbiciu wszelkiej niepewności, już z cechą pewności, wprowadza się X. Tylmana (Bartłomieja oczywiście), może nieco przedwcześnie zasłużonego, w szereg słynących z zasług Misjonarzy siemiatyckich [2]), a następnie do Wilna, aby go koniecznie jeszcze przed śmiercią wprowadzić na stolec superjora wileńskiego, a to bez daty i patentu. A o nią (datę) właśnie chodzi, tę prawdziwą *crux*.

X. Bartłomiej Tylman tymczasem, oznaczony przez samego wizytatora X. Piotra Hiacynta Śliwickiego jako „*studiosus*" pokazał się nam na chwilę i to raz tylko w Siemiatyczach jako „*catheista*" = cathechista przy boku XX. Andrzeja Kowalickiego, Adama Duckiego i Jakóba Erykowskiego, na misji w „*Kleszczelach*" (23 XI.—10 XII. 1739) [3]) i następnej w „*Bilsku*" (14 X. 1739—3 I. 1740) [4]), poczem powrócił do Warszawy, skąd, jeszcze diakonem będąc, ruszył do Wilna [5]), gdzie stanął dnia 2 września 1743, a w Suche dni grudniowe tegoż roku otrzymał święcenia kapłańskie [6]). Prawdą jest, że był profesorem św. Teologji w seminarjum misjonarskiem na Górze Zbawiciela [7]) i dyrektorem kleryków w seminarjum internum tamże [8]), w końcu i asystentem domu [9]), patentu jednak superjorskiego, lubo, że zdaniem samego X. Śli-

---

[1]) K. P. str. 114.

[2]) Ibid. 122. Cfr. Mémoires, I. Pologne str. 521 gdzie powolne wprawianie młodego seminarzysty do spełniania prac swego powołania co najwyżej może obudzić nadzieję owocnej jego działalności w przyszłości, nie znosząc oczywiście wartości najmniejszych nawet poczynań jego w oczach Bożych.

[3]) LM Siemiatycensium nr. 69.

[4]) Ibid, nr. 70.

[5]) Cathalogus subjectorum domus Vilnensis Congr. Miss. str. 5; Cfr. Relationes Visitatorum de statu provinciae. Rps. str. 120 „*Wilna*".

[6]) Ibid. Cathalogus subjectorum domus Vilnensis Congr. Miss. str. 5.

[7]) Relationes Visitatorum str. 205/6 „*Wilna*".

[8]) Ibid 206; Mémoires I, 521.

[9]) Mémoires I, 521.

wickiego był do kierowania domem zdatny [1]), dotychczas dla niego nie znaleziono. Pożegnał ten świat 22 kwietnia 1755 r. [2]), spoczął w podziemiach Góry Zbawiciela, która także zadrży... gdy na sąd przyjdzie Pan.

A teraz *X. Jan Nep. Tylman!* Wioska jego rodzinna leżała w diecezji krakowskiej, którą wzdłuż i wszerz przeorywali pracami swojemi stradomscy, a czasem i wawelscy konfratrzy, dając przy tej gorliwości swojej (było to za superjora X. Brzozowskiego 1739—1757) piękny obraz wzajemnej miłości i prawdziwego zrozumienia swego apostolskiego powołania. Do Zgromadzenia wstąpił X. Jan Nep. Tylman (ur. 29 V. 1725) 14 X. 1742 r. raczej w Krakowie, aniżeli w Warszawie [3]), a d. 15 VII. 1744 złożył śluby św. W swoim spisie, obejmującym wszystkich członków Zgromadzenia prowincji polskiej [4]), przy domie stradomskim w rubryce „*Clerici studiosi*" umieszcza X. Śliwicki także naszego Jana Tylmana, a w sprawozdaniu z wizytacji, odbytej w Krakowie na Stradomiu w maju 1748 r. [5]), tak się o nim wyraża: „Jan Tylman *jouit un bon esprit, et un jugement solide, a une grande pieté et a vere exacte regularité; il est de bonne santé, et sera propre à toute sorte de fonction*" [6]).

Po wyświęceniu na kapłana poszedł na profesora św. Teologji do zamkowego seminarjum w Krakowie [7]); dobrym więc musiał być teologiem, jeśli Zgromadzenie, zawsze wielce dbałe o wiedzę i kierunek w powierzonych sobie seminarjach, jego powołało na katedrę obok Wawelu. Po

---

[1]) Relationes Visitatorum l. c. str. 206: „... *Il* (*Mr. Barthélemy Tylman*) *sera propre dans son temps a gouverner une maison...*".

[2]) Mémoires I, 521; Smora, Księża Misyonarze w Wilnie, str. 20 i K. P. 114.

[3]) Cathalogus domorum et personarum C. M. str. 34 nr. 177.

[4]) Cathalogus omnium personarum per familias (a 1748) distributarum in Provincia Polonia (Relationes Visitationum l. c. 219).

[5]) Relationes Visitationum l. c. 211: „... Les Étudians...".

[6]) Cfr. Ordinationes Visitationum.

[7]) LS. 571; X. Wysocki, Seminaryum Zamkowe l. c. 331.

kilku latach powrócił jeszcze raz na Stradom obejmując urząd asystenta. Od r. 1759—62 wcale owocnie pracuje na misjach, przeważnie jako ich dyrektor [1]).

Kiedy w r. 1763 X. Łukasz Tykwiński, sterany chorobą, oddał superjorstwo, obierając sobie na resztę swoich dni Wilno za miejsce pobytu, *X. Jan. Nep. Tylman,* dotychczasowy asystent stradomski, został superjorem na Górze Zbawiciela. W marcu 1763 r., a nie prędzej ani później [2]) przybył na nią i już się z niej nie ruszył. Superjorem pozostał od 1763—1782; resztę swoich dni, istotnie cierniowych [3]) dopełnił w r. 1785 [4]), a w podziemiach misjonarskiego kościoła znalazł ostatni swój spoczynek.

Nakreślić żywą sylwetkę naszego X. Jana Nep. Tylmana jako superjora wileńskiego wobec nikłej liczby źródeł, jakie nas doszły, to rzecz niezmiernie trudna. To pewna, że starał się urzeczywistnić program zakreślony przez przodków na tymże urzędzie i dlatego wychowywał kler w obydwóch seminarjach: externum i internum, przysposabiał ordynandów, dysponował przybywających na ostatnie chwile do gmachu misjonarskiego współbraci proboszczów, celem połączenia się z Bogiem, oraz wyjeżdżał na misje. Od czasu do czasu odbywał jako „*Vicevisitator deputatus*“ za schorzałego X. Śliwickiego wizytacje domów, rozsianych po Białej Rusi. Jak widać z doszłej nas jego wizytacji domu śmiłowickiego, z października 1773 r. [5]), syntetycznie i umiejętnie, w sposób niemal scholarny wyłuszczał i przypominał tamtejszym misjonarzom prawdy i zasady apostolskiego i misjonarskiego życia. We wszystkiem jednak przebija raczej teoretyk niż praktyk.

---

1) LM Strad.... nr. 379—400 (1759—1762).

2) Cathalogus subjectorum domus Vilnensis Congr. Miss. str. 7.

3) Cathalogus domorum et personarum Congr. Miss, str. 37 nr. 177.

4) Ibid.

5) Ordinationes sive Decreta Visitationum domus Śmiłovicensis sive Bakstensis Congr. Miss. Rkps. *Ordinationes Visitationis... a. D 1773 in octobri peractae.*



Kościół św. Krzyża w Warszawie.

Nic więc dziwnego, że przy opłakanych ówczesnych stosunkach, wciskających się z chwilą pierwszego rozbioru kraju w oderwane od macierzy strony, nie uratował przed prawem kaduka misjonarskiego mienia tak w samem Wilnie, jak i poza Wilnem, a przecież, jeśli kiedy, to w tym właśnie czasie pulsujące życie duchowe i umysłowe na Górze Zbawiciela zależało także od dobrego szafarza w dziedzinie materjalnej, która przecież zwykle oddziałuje na rozwój duchowej.

Pomimo tych wstrząsów zewnętrznych nie przestał jednak X. Tylman być duszą szlachetną, poczciwą i cierpliwą; jak niegdyś w młodości swojej na Wawelskim grodzie jako gruntowny teolog wobec młodych lewickich dusz niby orzeł zrywał się do ustawicznego lotu, tak teraz w starości zaprawiając się do ostatniego, sterany już chorobą, leczył duszę swoją modlitwą i studjum krzyża, którego dopełnił w r. 1785 [1]). Wprzód jeszcze złożył 10. V. 1782 rządy domu w ręce swego następcy X. Andrzeja Pohla, a sam, od roku paraliżem tknięty, „który mu nietylko mowę i władanie lewą nogą i ręką odebrał, ale teraz umysł znacznie pomieszał“ [2]), oczekiwał zmiłowania Bożego.

Spoczął także w podziemiach Góry Zbawiciela, aby tam zamieniony w proch, poprzez długi sen śmierci czekać archanielskiej trąby, zwiastującej zmartwychwstanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Cathalogus subjectorum domus Vilnensis str. 7.

[2]) Acta Superioratus X. Pohla.



Węgry.

Dom Centralny Sióstr Miłosierdzia w okresie komunizmu 1919 r.

(Dokończenie).

W dniu trzecim maja zawezwano W. Siostrę Wizytatorkę do rozmownicy. Dwaj członkowie komisji likwidacyjnej wręczyli jej tutaj pieniądze, zabrane Zgromadzeniu w kwietniu, a nadto zapewnili ją, że dom został nam z powrotem oddany na własność. Niespodziewana ta wiadomość ogromnie nas ucieszyła. Radość naszą mąciła jednak troska, że jest nas tylko garstka sióstr, bez zajęcia i środków do życia, i że będziemy musiały zgodzić się na kwatery rodzin proletarjackich, nie będąc w stanie zająć same wszystkich ubikacyj w obydwu wielkich domach.

Nie znałyśmy zrazu przyczyny tak pomyślnego obrotu rzeczy. Później dopiero dowiedziałyśmy się, że powód był dwojaki. Najprzód: klęski zadane armji czerwonej wskazywały na możliwość represji ze strony Ententy, a powtóre francuski minister spraw zagranicznych wystosował z Paryża do Bela Kun'y notę, w której ujął się za cudzoziemcami. Skoro więc czerwoni dowiedzieli się, że dom macierzysty Sióstr Miłosierdzia jest w Paryżu, postanowili zwrócić nam naszą własność. Jeszcze tego samego dnia opuścili nasz dom wszyscy dozorcy i komuniści wraz z rodzinami.

Odebrano nam również dzieci dane nam na wychowawanie w ciągu ubiegłego miesiąca. Bez żalu żegnałyśmy je; były bowiem tak złe i nieznośne, że siostry nie mogły sobie dać z niemi rady, zwłaszcza, że nam nie wolno było mówić im o Bogu.

Tymczasem dyrektor pewnego schroniska państwowego zaofiarował nam obowiązek dozoru i opieki nad dziećmi od 1—12 lat. Czcigodni nasi Przełożeni chętnie zgodzili się na propozycję, bo dzieło odpowiadało duchowi naszego św. Założyciela, a jednocześnie było źródłem dochodu. Wkrótce zorganizowałyśmy pracę. Ku naszej wielkiej radości zaczęły powracać do nas siostry, przebywające dotąd u swoich rodzin i znajomych. — W liczbie dwudziestu przetrwałyśmy w domu centralnym dni najcięższego doświadczenia, teraz jednak liczba ta podwoiła się i rosła z dnia na dzień. Wszystkie towarzyszki powracały z ochotą do życia wspólnego; przez roztropność nie przywdziałyśmy jednak odrazu świętej sukni.

Godzina zupełnego spokoju wszelako nie wybiła jeszcze. Trzeba było na nią czekać całe trzy miesiące. Mimo wszystko jednak dzień 3-go maja, w którym nam dom zwrócono, był dla nas początkiem względnego spokoju. Opatrzność zesłała nam dzieci od 8 miesięcy do lat 14. Niewinność ich pewnie cieszyła oko Boga i Jego aniołów. Nas zaś przedewszystkiem wielkiem współczuciem przejmował zewnętrzny ich wygląd. Wszystkie one przychodziły do nas bardzo biednie ubrane, w podartych koszulinach, albo w sukienkach z materji papierowej. Przygotowałyśmy im nasze własne łóżka na spanie, w których się formalnie gubiły; musiałyśmy czuwać, ażeby z nich nie powypadały, co się mimo to zdarzało dość często. Główną naszą troską było sporządzić im ubranka i bieliznę. Zużyłyśmy więc na ten cel firanki od naszych łóżek, bez których mogłyśmy się zupełnie obejść. Wiele było z temi dziećmi kłopotu, ale na pociechę naszą rosły zdrowo i uczyły się grzeczności w obejściu. Niestety już po kilku tygodniach trzeba je było oddać do schroniska, gdyż inne daleko mniejsze czekały na podobną opiekę i poświęcenie z naszej strony. Co do starszych, to miałyśmy tę pociechę, że mogłyśmy im mówić o Bogu, o którym wskutek niedbalstwa rodziców zgoła nic nie wiedziały. Z jakąż chciwością słuchały Boskiej nauki i piły ze źródła prawdy! Byłyśmy przecież u siebie w domu, nikt zatem nie miał prawa rozkazywania nam; z całą

więc swobodą korzystałyśmy z wolności nauczania. Dyrektor i inspektorowie schroniska, którzy odwiedzali nas prawie codziennie, nie mogli się dość nadziwić dobrym postępom naszych wychowanków. Panowie ci nosili się nawet z zamiarem, ażeby dom nasz zamienić na przytulisko dla chorowitych dzieci ze schroniska. — Rząd uważał nas nadal tylko za funkcjonarjuszki państwowej instytucji i jako takim wypłacał miesięcznie po 400 fr.

Bez przeszkody mogłyśmy teraz żyć według reguł i oddawać się ćwiczeniom wspólnym. Przytem nie zapominałyśmy o tych siostrach, które musiały jeszcze borykać się z trudnościami ze strony komunizmu, zwłaszcza o siostrach zajętych w szkołach i szpitalach. Sprawa całkowitego zeświecczenia szpitali powoli poszła w zapomnienie, bo komuniści, widząc, że nie mają dostatecznej liczby pielęgniarek świeckich, zgodzili się ostatecznie na powrót sióstr do szpitalnych zajęć. Zupełnie w inny sposób przedstawiała się kwestja szkolna. Starano się usilnie narzucić tak nauczycielom, jako też nauczycielkom, jak wreszcie dziatwie szkolnej zasady i mrzonki bolszewickie, aby zdeprawować w ten sposób umysły i serca młodzieży. Dla osiągnięcia tego celu użyto wszelkich środków, na jakie tylko piekło zdobyć się może. Wychowanie zatrute było niemoralnością. Dawano bowiem dzieciom do rąk ryciny najnieodpowiedniejsze, wyświetlano dla młodzieży filmy, które wzdryga się pióro opisać. Siostry zaś zajęte po szkołach były przedmiotem najróżnorodniejszych szykan. Starano się wszelkiemi sposobami sparaliżować zbawienny ich wpływ na dziatwę. — Przechodziły przez ogień doświadczenia. Zmuszano je między innemi do słuchania wykładów o światopoglądzie komunistycznym. Nieustannie grożono im wygnaniem, a nie spełniano groźby jedynie dlatego, gdyż spodziewano się, że nędza zmusi je same do kapitulacji.

Najczcigodniejsi nasi Przełożeni współcierpieli z każdym domem, lecz ponieważ stosunki w poszczególnych domach układały się różnie, pozostawiali siostrom wolną rękę w dzia-

łaniu. Wielką pociechę sprawiały im wieści z prowincji, że ludność stoi po stronie sióstr, a że i one same skutecznie bronią swoich praw. Były wszakże domy, których położenie nie było lepsze od domów w stolicy. Domy nie mogły na ogół porozumiewać się między sobą, gdyż z jednej strony trudno było zaufać poczcie, a z drugiej strony rząd uniemożliwiał wszelki wpływ przełożonych na podwładnych. Od czasu do czasu tylko zaufane osoby pośredniczyły w korespondencji.

5-go czerwca. Chociaż już od miesiąca zażywałyśmy względnego spokoju, byłyśmy jednak wciąż przygotowane na nowe niespodzianki ze strony komunistów. I rzeczywiście wieczorem 5 czerwca uwiadomiono nas, że nasz dom i majątek mają być po raz wtóry skonfiskowane.

W kilka dni potem zjawił się u nas urzędnik rewolucyjny i kazał nam jeszcze raz podpisać deklarację przynależności domu do państwa jako jego własności, gdyż — jak mówił — poprzednia została unieważniona z chwilą, kiedy nam dom zwrócono. W razie odmowy zagroził wydaleniem z kraju. Wiadomość, że nasze podpisy z kwietnia unieważniono, wywołała u sióstr powszechną radość. Nasza odpowiedź brzmiała teraz krótko i stanowczo: „Nigdy już nie podpiszemy deklaracji". Niech się stanie, co chce — raczej śmierć poniesiemy. Skutek był ten, że zostawiono nas na pewien czas w spokoju.

24-go czerwca. Po południu tego dnia zagrały nagle armaty, które nas z początku przeraziły; wnet jednak nadeszła wiadomość, że wybuchła biała kontrrewolucja, a walka na śmierć i życie już się rozpoczęła. Radość ogólna zapanowała w mieście. Z ust do ust podawano sobie aż do wieczora wiadomości o różnych fazach walki: biali zajmują pocztę, centralę telefonów itd. itd. Zjawienie się monitorów na Dunaju przyjęto ze strony mieszczan z ogromnym entuzjazmem, za co wielu zostało zamordowanych przez wszędzie snujących się szpiegów. Monitory zaczęły bombardować hotel Ungarja, gdzie była siedziba rządu sowieckiego. Wnet ro-

zeszła się pogłoska, że ujęto dowódców armji czerwonej, lecz wiadomość ta okazała się nieprawdziwą. Przez całą noc słychać było strzelaninę. Z obu stron walczono z zajadłością. Nikt nie mógł oka zmrużyć.

Następnego jednak dnia radość w mieście zamieniła się w powszechną żałobę. Czerwoni wyszli panami z walki. Udało im się napowrót zdobyć utracone pozycje; między innemi i Akademję wojskową zmusili do kapitulacji, której bronili bohatersko przez całą noc, tak profesorowie jakoteż i kadeci, by w końcu wyczerpani ulec przemocy. Rożdzierający to był widok, jak ulicami prowadzono do więzienia kadetów i oficerów, skutych w kajdany. Wiadomy był los, jaki ich czekał. W rzeczy samej poustawiano szubienice na publicznych miejscach i już wszystko było przygotowane do krwawej egzekucji, aż tu zjawia się szef misji włoskiej, pułkownik Romanelli, który wszystkich więźniów białej rewolucji wziął energicznie w obronę. Tylko jego podziwienia godnej odwadze, wielu, zwłaszcza z pośród kadetów, ma do zawdzięczenia swoje życie. Białą rewolucję zupełnie zgnieciono. Dzienniki podały do wiadomości, że rewolucja wybuchła także w Transdanubji, lecz i tam ją stłumiono w zarodku. Ze zemsty zaprowadzono w kraju rządy terorystyczne.

Na wykonawcę terorystycznych rządów wybrano krwiożerczego p. N... Potwór ten liczył dopiero lat 22. Wychował się w Rosji; przepojony na wskróś zasadami Lenina, wybił się na pierwszorzędnego bojownika bolszewizmu. Wkrótce też objawił swoje dzikie i krwiożercze instynkty. Przebiegał wioski, wierne dawnemu porządkowi i wieszał całe tłumy wieśniaków. Z rozkoszą przyglądał się, jak twarze ofiar kurczyły się z bólu. Nawet do tego stopnia dzikości się posunął, że synom kazał wyciągać na szubienicę ojców, a ojcom być obecnymi przy traceniu synów. W niektórych okolicach urządzał masowe rzezie, którym przypatrywać się musiała młodzież szkolna.

Los kontrrewolucjonistów w stolicy był może jeszcze okropniejszy. Aresztowano ludzi wszystkich stanów, zwłaszcza

ludzi zasłużonych z arystokracji, księży i zakonników. Automobile przebiegały opustoszałe ulice, zatrzymując się przed domami podejrzanych obywateli. Zdarzało się często, że ludzie zaskoczeni w śnie, porywani gwałtem, nie mieli czasu, ażeby się jako tako okryć. Nie wiedziano, co się z aresztowanymi działo, bo dopiero po upadku rządów sowieckich wyszły na jaw okrucieństwa, jakich się dopuszczano na nieszczęśliwych ofiarach.

Jak już zaznaczyliśmy, wypuszczono z więzienia najbardziej niebezpiecznych zbrodniarzy, którzy na rozkaz Bela Kun'y utworzyli gwardję terorystyczną. Trudnoby było uwierzyć, jakich okrucieństw dopuszczali się bolszewicy, gdyby się sami do nich nie byli przyznali i gdyby poszukiwania rządowe nie były odkryły setek trupów zniekształconych i porzuconych bezładnie po piwnicach parlamentu i niektórych hoteli, a zwłaszcza na dnie Dunaju.

Straszne tortury musiały ofiary przechodzić w czasie przesłuchania. Można się było tego domyślić z okropnych ran, widocznych na trupach i z krzyków, jęków i narzekań, wydobywających się z podziemnych lochów. Winowajca był szczęśliwy, jeżeli wystrzałem rewolwerowym skrócono mu męczarnie. Pewien żydowski przywódca przyznał się, że sam spalił 60 ofiar. — Po obaleniu czerwonego rządu znaleziono długie listy proskrybowanych księży, zakonnic i szlachty z całego kraju, a zwłaszcza ze stolicy, z podaniem daty, kiedy mieli być wydani na pastwę motłochu. Dowiedziałyśmy się nieco później, że między 3 a 10 sierpnia mieli być wymordowani wszyscy wierni swojemu powołaniu księża i zakonnicy. Zamiary węgierskich komunistów były więc te same, co ich rosyjskich przyjaciół: chcieli wytępić całą chrześcijańską inteligencję, ażeby następnie łatwiej było uporać się z resztą. Lecz próżne były ich ataki na Kościół Chrystusowy. Raz jeszcze zapisze historja fakt, że P. Bóg śmieje się z zakusów zlych ludzi i potrafi swą wszechmocną ręką zasłonić słabych i maluczkich.

Lecz wróćmy do nieudałej kontrrewolucji z 24 czerwca. Nieprzyjaciele Kościoła usiłowali złożyć całą odpowiedzialność za ostatnie wypadki na barki księży i bogatych żydów, w zamiarze jeszcze sroższego ich prześladowania. Ogłoszono w gazetach edykt komendanta armji czerwonej, tej treści: „Z bezwzględną surowością będę ścigał wszelkie knowania księży i kapitalistów żydowskich“. Wzywam wszystkich proletarjuszy, a osobliwie kobiety-robotnice, aby się nie dały uwieść koalicji żydowskich kapitalistów i kościoła, i przestrzegam wszystkich, ażeby się z nimi nie łączyli przeciwko swoim braciom proletarjuszom. — Od dnia dzisiejszego zabraniam wszelkich zgromadzeń i procesji. Zapewniam wszystkim swobodę w wypełnianiu praktyk religijnych po kościołach, ale nie zgodzę się na to, ażeby kontrrewolucja szerzyła się pod maską religji.

Ta ostatnia uwaga odnosiła się do kilku pożałowania godnych wypadków, jakie się wydarzyły w czasie procesji Bożego Ciała. Jakiś żyd ostentacyjnie znieważył Najśw. Sakrament. Powstała stąd bójka. Czerwoni wtargnęli następnie do kościoła, zabili i poranili wielu uczestników procesji.

Wielu dobrych księży padło ofiarą nienawiści i podejrzeń czerwonego rządu. Między innymi był pewien kapelan sióstr, którego bito, a następnie rozstrzelano jedynie tylko dlatego, że nie umiał odpowiedzieć na pytanie: „Kto w chwili wybuchu kontrrewolucji kazał dzwonić?“. Jego jedynem pragnieniem było wyspowiadać się przed śmiercią, lecz odmówiono mu tej łaski. Czterema kulami ugodzony przeleżał w agonji na śmietnisku aż do dnia następnego. Potem dobito go i wrzucono do dołu.

30 czerwca. Zjawił się u nas jakiś człowiek, wyglądający na aktora, który przedstawił się nam jako wydelegowany przez rząd robotniczy dozorca naszego domu. Zapewniał nas, że nie ma zamiaru nas niepokoić, bo szanuje nasze prawa, a obchodzą go jedynie sprawy tyczące się dzieci. Nazajutrz, tj. 1 lipca zainstalował się z całą swoją rodziną i zajął trzy pokoje ekonomatu. Nowi lokatorzy robią dobre

wrażenie, odnoszą się z szacunkiem do sióstr i zachowują się zupełnie inaczej, niż ich poprzednicy. Głównem zadaniem tego nowego dozorcy było zdaje się nakłonienie nas do powtórnego podpisu aktu lojalności wobec rządu, co nam już zaproponowano w dniu 5 czerwca. Znając projekt ogólnego wytępienia wszystkich zakonników i zakonnic, chciał zapewne tym sposobem nas ocalić. Przekonałyśmy się później o jego dobrych zamiarach, przypominając sobie z jakim talentem aktorskim i dyplomatycznym używał próśb, gorzkich wyrzutów, a nawet deklamacyj teatralnych, aby nakłonić nas do podpisu; lecz to wszystko było nadarmo, miałyśmy tylko jedną odpowiedź: Raczej śmierć, niż podpis! Po wyczerpaniu wszelkich środków wpadł na myśl sporządzenia pewnego rodzaju protokółu, podpisanego przez dozorcę schroniska i portjera, jako świadków. Treść protokółu była tego rodzaju: „Ponieważ siostry już raz dały swój podpis, więc nie potrzeba wymagać nowego, gdyż usposobienie ich się nie zmieniło“. Dowiedziąwszy się o tem, wszystkie siostry oświadczyły, że nie zgadzają się, nawet na pozory uległości, jakoby dały swój podpis, i sprzeciwiły się stanowczo, aby podobne pismo wyszło z ich domu. Widząc, że nie dopnie celu, biedny dozorca zatelefonował do Rady robotniczej, że nie wskórał nic u sióstr i że są to osoby bardzo odważne i energiczne.

Od tego dnia pozostawił nas w spokoju, nie bardzo się mieszając do spraw Zgromadzenia i zostawiając naszej czcigodnej Siostrze Wizytatorce całą swobodę w prowadzeniu domu.

1 lipca. Na rozkaz rady robotniczej, Księża Misjonarze byli zmuszeni opuścić swój dom i przenieść się gdzieindziej. Misjonarze opuszczali dom z niepłonną nadzieją, że wkrótce doń powrócą. Mieszkanie ich zostało zajęte przez uczniów szkoły ogrodniczej, których liczba znacznie wzrosła, gdyż wiele osób z towarzystwa, jak oficerowie, adwokaci, sędziowie, straciwszy posady widziało się zmuszonemi do nauczenia się jakiegokolwiek rzemiosła. Brat ogrodnik ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy uzyskał posadę w tej szkole

i w ten sposób mógł otoczyć opieką kaplicę, której administracja pozostała prawnie przy Misjonarzach.

Dzieci, któremi opiekowałyśmy się blisko 2 miesiące, dawały nam pełne zadowolenie i dużo pociechy. Administratorzy i lekarze schroniska w czasie swych codziennych wizyt przyprowadzali ze sobą niektórych swoich przyjaciół bolszewickich, którzy podziwiali nietylko sam dom, ale i sposób, w jaki obchodziłyśmy się z dziećmi. Wielu z dygnitarzy bolwickich prosiło później o przyjęcie ich chorych dzieci, ale Czcigodna Wizytatorka odpowiedziała im, że służymy tylko ubogim i że z tego powodu nie może się przychylić do ich życzeń. Ażeby jednak ich także chore dzieci mogły używać świeżego powietrza, oddała im do dyspozycji nasz drugi dom, położony na wzniesieniu, a nadto i nasz ogród. Krewni małych chorych byli tem zarządzeniem zachwyceni i nie omieszkali korzystać z powabów naszego ogrodu, będącego wtedy w pełnym rozkwicie. W każdą niedzielę i święto przynosili ze sobą koszyczki i torebki, aby je napełnić owocami z naszego ogrodu. Czyż nie była to osobliwa forma komunizmu, o jakiej nie śnili najlepsi ideologowie?

Rumuni po przejściu linji demarkacyjnej, wyznaczonej przez Ententę, zbliżali się coraz więcej ku stolicy. Ponieważ bolszewicy podkopali autorytet i poszanowanie władzy, więc też nic dziwnego, że zdemoralizowana armja stawiała Rumunom tylko słaby opór. Czerwoni z obawy przed wzięciem do niewoli, masami opuszczali szeregi, zwłaszcza, że wielu przemocą było zaciągniętych do wojska. Pomimo bezczelnych kłamstw, ogłaszanych w dziennikach, wszyscy byli pewni, że forma rządu bolszewickiego nie da się już dłużej utrzymać. Na ulicy, w tramwajach, coraz częściej słychać było otwarte wymyślania na system bolszewicki. Wszyscy wyglądali niecierpliwie upadku tej nieszczęśliwej władzy.

Wreszcie w dniu 1 sierpnia nadzwyczajne wydania dzienników ogłosiły, że rząd podał się do dymisji. Bela Kun w swej mowie pożegnalnej, którą chciał uczynić możliwie patetyczną, zapewniał ojczyznę o gorącem przywiązaniu:

mówił „ze łzami w oczach“, że „chciał tylko jej dobra, jej wielkości“, że odchodzi teraz, ale powróci, kiedy klasa robotnicza będzie bardziej oświecona i bardziej skłonna do zrozumienia jego dążeń i jego pragnień[1]). Złożył władzę w ręce prowizorycznego rządu demokratycznego. Dobra ta nowina, do której wszyscy wzdychali, powinna nas była napełnić radością; lecz ciągłe cierpienia, trwające już od kilku miesięcy zrobiły z nas nieczułych sceptyków, nie umiejących się już cieszyć całem sercem. Byłyśmy zresztą przekonane, że nowy rząd nie będzie wiele lepszy od poprzedniego, a zwłaszcza w rzeczach tyczących się religji.

Z przezorności nie odważyłyśmy się jeszcze przywdziać naszego zakonnego ubioru, lecz nazajutrz dozorca rozprószył nasze wątpliwości, zapewniając nas, że niema już żadnych przeszkód pod tym względem.

Przyjęłyśmy tę szczęśliwą wiadomość z wybuchem nieopisanej radości. Gdy pierwsze uniesienie minęło, spostrzegłyśmy z przykrością, że nie będziemy mogły się zaraz przebrać, gdyż w czasie złowrogich dni ukryła większość sióstr święte suknie u swoich rodzin. Za pozwoleniem naszej drogiej Siostry Wizytatorki, rozbiegły się więc towarzyszki w różne strony, w poszukiwaniu za „świętym skarbem“; wieczorem skonstatowałyśmy z radością, że wszystkie już będziemy mogły ubrać się „po naszemu“.

Jakiż to wzruszający widok przedstawiała kaplica domowa rankiem dnia 3 sierpnia, kiedy na nowo zapełniła się białemi kornetami! Nasi komuniści zeszli się także, ażeby w czasie mszy św. nasycić oczy widokiem świętego naszego ubioru. Dzieci większe i małe, każde na swój sposób — okazywały nam swoje zadowolenie.

Około południa jakiś pan, przysłany przez policję, przyszedł zerwać afisze bolszewickie, umieszczone na naszych drzwiach, jak również na drzwiach domu Księży Misjonarzy.

---

[1]) Dzienniki z ostatnich dni doniosły, że Bela Kun jako umysłowo chory został umieszczony w domu warjatów.

W mieście widok ulic zmienił się jakby pod wpływem różdżki czarodziejskiej. Czerwone flagi, które powiewały od czterech miesięcy i zdążyły już nabrać jakiegoś nieokreślonego koloru, zostały szybko zastąpione chorągwiami narodowemi; ludność powitała je radosnemi okrzykami.

Znienawidzone afisze, nalepione na murach i wszystkich zakątkach ulic, tchnące nienawiścią do kościoła i mieszczan, na rozkaz rządu zniknęły jeszcze tego samego dnia.

Siostry, wychodzące na miasto, spotykały się wszędzie z wielką sympatją. Słyszeć się dały takie okrzyki, jak: „Patrzcie, oto gołębice dobrego Boga znowu się pojawiły!“ — albo: „Widząc Was Siostry znowu, spodziewamy się, że wrócą dawne, dobre czasy!“

Od chwili upadku komunizmu wydarzenia radosne następowały szybko po sobie. Zarządzenia bolszewickie zostają jedne po drugich odwoływane; zwraca się posiadłości, policję przywraca się do dawnego stanu, otwierają się sklepy. Niestety wielu przywódców komunistycznych uciekło wskutek tolerancji nowego socjalistycznego rządu i przeniosło się do Wiednia.

4 sierpnia. Trzy korpusy armji rumuńskiej zbliżają się ku miastu. Ludność oczekuje ich od kilku tygodni z rezygnacją, a nawet z pewnego rodzaju radością, gdyż uważa się ich za zbawców.

Wszyscy zdają sobie sprawę z konsekwencyj ekonomicznych i politycznych okupacji rumuńskiej, lecz przecież oswobodzają nas od większego nieszczęścia, niż to, które nam przynoszą. Bolszewizm, to pewna śmierć dla kraju; oblężenie, to klęska, lecz klęska, którą kraj będzie mógł naprawić. — Nie można zaprzeczyć, że ludność wiejska w znacznej mierze przyczyniła się do upadku bolszewizmu na Węgrzech przez swój bierny opór, wobec którego wszelka władza jest bezsilną. Gdyby lud wiejski był poparł system bolszewicki, to nie tylko Węgry, ale może nawet cała Europa byłaby zmieniła swój wygląd; historja zaś miałaby do zapi-

sania dużo jeszcze krwawych kart, jak o tem świadczą bolesne wydarzenia w Rosji.

17 sierpnia. Po czterech miesiącach przymusowego milczenia mogła rada domu centralnego na nowo odbyć swoje posiedzenie. Nasza Czcig. Siostra Wizytatorka oznajmiła okólnikiem wszystkim siostrom tę radosną nowinę, że centralny zarząd działa znowu bez przeszkód, a zarazem podała do wiadomości warunki, pod którymi należało przyjmować wracające siostry.

W tym samym czasie dyrektorowie wszystkich tych zakładów, które nasze siostry musiały opuścić w czasie burzy rewolucyjnej, spieszą do nas z prośbą o powrót sióstr. Niestety było to w wielu wypadkach niemożliwe, gdyż siostry cudzoziemki, z woli wyższych przełożonych muszą pozostać w kraju, z którego pochodzą. Zatem tylko klinikę i szpital św. Jana mogły nasze siostry węgierskie obsłużyć.

W domu centralnym spiesznie porządkuje się wszystko i przenosi na dawne miejsca; wraca porządek nabożeństw, urządza się na nowo seminarjum.

Dzieci ze schroniska powoli nas opuszczają, ostatnia grupa wyjechała 1 września. Nadzorca chętnie byłby dłużej pozostał u nas z rodziną. Czuł się bowiem bezpieczny i wolny od rewizji i śledztwa, któremi ścigano teraz komunistów. Wreszcie i on decyduje się wyjechać, i 20 sierpnia żegna nas z patetyczno-teatralnym wzruszeniem.

1 września. Ostatnie resztki komunizmu opuszczają nas tego ranka. Jesteśmy wreszcie wolne i swobodne. Możemy otworzyć na oścież podwoje na przyjęcie wygnanych sióstr, które codzień powracają we wielkiej liczbie.

Wzruszający to widok, z jaką radością przychodzą zająć swoje miejsca wśród nas, zapewniając tem samem, że w dniach udręki umiały dobrze ocenić łaskę i szczęście wspólnego życia w Zgromadzeniu.

W czasie niespokojnych dni komunizmu, powzięłyśmy myśl, że z chwilą powrotu normalnych stosunków, zanim oddamy się zwyczajnym zajęciom, każda z nas odprawi kilku-

miesięczne seminarjum. Upragniona godzina spokoju nadeszła; czas wypełnić, cośmy postanowiły. Niestety, z powodu licznych zajęć byłyśmy zmuszone zadowolić się tylko rekolekcjami w miejsce dłuższego seminarjum. Tylko 22 siostry uzyskały przywilej odprawienia jednomiesięcznego seminarjum.

Wielka rodzina prowincji Węgierskiej, choć zmniejszona prawie o 300 członków wskutek zgonu, emigracji sióstr obcokrajowych, a niestety także wskutek odpadnięcia kilku suchych gałęzi od drzewa św. Wincentego, napełniona dziś jest chęcią odnowienia się w duchu swego św. Założyciela. Ona wie, że próba ta była nawiedzeniem Najwyższego, który chciał tym sposobem odnowić zupełnie jej członków.

Mimo to, że horyzont polityczny jeszcze się nie wyjaśnił zupełnie, choć „czerwone widmo“ na nowo nas niepokoi od wschodu, to jednak dusze nasze przejęte są niezmierną wdzięcznością względem Matki Niepokalanej, która się nami w czasie zamieszek rewolucyjnych opiekowała, a serca nasze pełne są bezbrzeżnej ufności w potężną opiekę Tej, która powiedziała: „Niebezpieczeństwo będzie wielkie i zdawać się będzie, że wszystko stracone; ufajcie jednak, Ja zawsze będę z wami!“

Koniec



Misje w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Czytelnicy znajdą skorowidz odprawionych tutaj polskich misyj w sprawozdaniu rocznem domu w Whitestone N. Y. Trudnoby było wszystkie te misje szczegółowo opisywać, dlatego, że są one przeważnie do siebie podobne, że jest ich wiele, a odprawiamy je nieraz w trzech grupach równocześnie, więc jeden o wszystkiem pisać nie może, jako że we wszystkich nie uczestniczy. Dla dania obrazu naszej tu w ostatnich czasach pracy, oraz dla zapalenia młodzieży naszej do tego najzbożniejszego powołania naszego, a także w celu odwołania się do wszystkich Członków Zgromadzenia, by wspomagali nas modlitwą, pracą, łzami i umartwieniami, podajemy opis niektórych misyj przez naszych konfratrów odprawionych.

Freeland Pa (12—26 września 1926 r.). Jest to miasteczko prawie słowiańskie, chociaż z panującym językiem angielskim, liczące około 10.000 mieszkańców, istniejące od 50 lat. Leży ono wśród dość wysokich i uroczych gór wschodniej Pensylwanji, w dopływie rzeki Lehig (czytaj Lihaj), a dojeżdża się doń koleją zwaną Lehig Valey (czytaj Lichaj Wali), którą z polska „lichym Walkiem“, albo „licho wali“ nazywają, wcale niesłusznie jej urągając, jako że, choć licho pnie się po górach, nieraz zaprzężona w trójkę lokomotyw, nie mniej jednak niż inne koleje, popiesznie nadąża. Jest tu gniazdo kopalń twardego węgla, w których nasi rodacy przeważnie pracują.

Trafiliśmy, (ks. St. Koneczny i n. p.) na zakończenie obchodu jubileuszowego, 50-lecia istnienia tegoż miasta

Freeland. Główną ulicę udekorowano flagami, wieńcami, wystawami, kolorowemi lampami, by we dnie i w nocy nadawała uroczystych, wybitnie amerykańskich ram codziennym przez cały tydzień obchodom. Widzieliśmy w ostatni wieczór obchodu, a we wigilję zaczęcia misji paradę, którą na przykład tutejszych jubileuszów skreślić nie zawadzi.

Pod wieczór zamknięto główną ulicę, by dać możność ugrupowania paradowego pochodu, wpuszczając tylko pieszych, albo sapiącą, co niemiara górską kolej, która na wzór Kołomyi, po środku prawie miasta paraduje. Poszczególne grupy, mające brać udział w pochodzie, obeszły najpierw boczne ulice miasta, by muzyką, swawolą błaznów i wystawami handlowemi na ciężarowych autach, ściągnąć ciekawych na główną ulicę. Przy zamknięciach ulic stanęły tramwaje i kolej; syrenowem, niczem na największych okrętach trąbieniem, a wzywały uroczyście i nie mało ekscytując. Dla przerwania nudów w oczekiwaniu początku pochodu, wyprawiały wyrostki, boomami tu zwani, rozmaite figle, głównie przemocą sypiąc za karki worki całe „confetti“. Czasem i człek poważniejszy przeszedł się chwiejno środkiem pustej ulicy, pokazując praktykę ustawy prohibicyjnej i siłę domorosłego alkoholu, „munszejmem“, czyli księżycówką, (a raczej światłem księżycowem) zwanego. Pochód zaczęło kilku cylindrowych dżokejów na koniach, w asyście motocyklistów. Za nimi jechał automobil ciężarowy, nakryty udekorowaną platformą, na której wśród alegorycznych postaci stała „Mrs. America“, ze światłem w koronie na głowie i gorejącą pochodnią w dłoni, a to według wzoru Posągu Wolności u wjazdu do portu Nowojorskiego. Zaś z odpowiedniemi godłami szli reprezentanci, robotnicy i robotnice miejscowych fabryk, ułożeni w litery nazwy odpowiedniej fabryki. A wszystko przedzielone odpowiednio przybranemi auto-platformami, z których rzucano chleb, cygara, cukier, ciastka itp. Na jednej takiej platformie był sztuczny, o średnicy wzrostu człowieka tort, udekorowany przebranemi za motyle pannami. Jeżeli była „Mrs. America“, to czemu niema być „Mrs. Freeland“. Przed-

stawiała ją dziewczynka, na kunsztownym dziecinnym wózeczku poważnie pozwalająca się wieść. Za tem jechała elektryczna pralnia, z trzaskiem urzędująca, ale na szczęście nikt bielizny do niej nie wrzucał, ani nie odbierał. Dalej jechały mieszkania domowe, otwarte, z dawnem i dzisiejszem urządzeniem, pełne dawnych i dzisiejszych mieszkańców przy robocie i przy stole. Pod koniec burmistrz, władze i co nieco dawno już zdegradowanych jeźdźców na koniach. To był dopiero początek końca, który dogasł nad ranem w klubach i restaucjach. Niektóre alegoryczne figury, musiały z pewnością zakończyć w szpitalu, lecząc się z przeziębienia, nabytego w mroźnym wieczorze, a może i na cmentarzu spoczęły, ale szyk był.

Wśród ludności tego miasta najwięcej jest Rusinów, potem Słowaków, Polaków, Ajryszów. Wszystkie te narodowości mają swoje parafje. Jest także kilkadziesiąt rodzin litewskich, które nawet razem z litewskim księdzem prym dzierżyły dawniej w polskim kościele. Obecnie Litwini się wynieśli, gdy przyszedł ksiądz prob. Stankiewicz, lubo od Wilna ród swój wywodzący, ale po polsku czujący. Gniewało go trochę, że jeden z misjonarzy tęsknił za Tatrami, bo ująwszy potężną dłonią nie mniej silny automobil, woził nas w wolnych chwilach po górach i ponad przepaściami, nieraz ze zawrotną szybkością.

Misja trwała tu 2 tygodnie, nauki głosiliśmy, jak wszędzie w Ameryce rankami i wieczorami, a za dnia przygotowywaliśmy dzieci do Sakramentu bierzmowania, którego w czasie misji udzielił, goszczący z Polski ks. Biskup Kubina. Dla uwagi rubrycystów nie zawadzi tu wspomnieć o amerykańskim, odmiennym zwyczaju przyjmowania biskupa. Ponieważ biskup przyjeżdża w cywilnem ubraniu, nieraz sam kierując automobilem, więc zajeżdża najpierw na plebanję. Tam ubiera się w strój biskupi i w szaty liturgiczne, poczem poprzedzony przez dzieci w bieli, rzeszę ministrantów i duchowieństwa idzie z plebanji wprost do kościoła przed wielki ołtarz, bez zatrzymywania się przy drzwiach kościelnych. Kadzą chyba fajkami gapie, stojący na ulicy.

Polscy parafjanie, pochodzący z Małopolski i Kongresówki, na ogół przykładnie żyjący, nie byli zbyt trudnem polem pracy duchownej. Gorliwie uczęszczali na misje po raz pierwszy gruntownie odprawiane w tej parafji przez polskich Misjonarzy. Większych zgorszeń nie trzeba było usuwać... Na odchodnem życzyliśmy im, by jaknajprędzej pobudowali parafjalną szkołę, bez której i wiara i polskość dzieci szwankuje, jako że w sprawach wiary, ani po polsku, ani po angielsku dzieci pouczyć nie można, by zapewnić im choćby godne przystępowanie do św. Sakramentów. Bez szkoły polskiej trzecie pokolenie dla polskości będzie zupełnie stracone, co widać już obecnie, gdy Polki idą za mąż za obconarodowców i same słabo po polsku mówią. Zatem idą i małżeństwa mieszane co do wiary, czego przykłady smutne mieliśmy i w czasie tej misji. Dlatego w naukach misyjnych musimy nalegać na budowanie szkół polskich i posyłanie do nich naszych katolickich, polskich dzieci. — Freeland należy do djecezji Sevanton.

Kingston Pa (3—17 października 1926). Chociaż niedawno nasi konfratrzy dawali tu misje, życzył sobie ksiądz Prob. Gryczka misję we wcześniejszym terminie, by w tym czasie ludzi godniej przygotować do złożenia podziękowania Bożej Opatrzności za 25-letnie istnienie tu polskiej parafji i za nadzwyczajny jej rozwój. Obok dość wielkiego, bogato urządzonego i bardzo schludnie wewnątrz i zewnątrz utrzymanego kościoła, są tu: nowa plebanja murowana, nowa szkoła i dom SS. Bernardynek, które uczą w szkole. Wszystkie te budynki na obszernym placu; cała posiadłość kościelna przedstawia dziś wartość 325.000 dolarów.

Miasto Kingston, oddzielone od większego miasta Wilkes-Barre rzeką Susquechanną, liczy 17.000 mieszkańców rozmaitych narodowości, z ogólnie panującym językiem angielskim, i należy jak i Freeland, do djecezji Serantońskiej. Polaków jest około 4.000. Parafje swoje mają osobno Słowacy, Litwini i Rusini, nie licząc plemion germańskich. Rodacy

nasi przeważnie pracują w kopalniach węgla, a żony ich i córki we fabrykach jedwabiu. Jest kilku doktorów i dość sporo handlowców. Młodzież polska mówi między sobą po angielsku, ale jest nadzieja lepsza na przyszłość, gdy następne pokolenia wyjdą z nowej polskiej szkoły. Chociaż przy zajęciach i w powszechnem użyciu będą mówiły po angielsku, jednak będą język polski znały i używały go w kościele, zachowując w ten sposób poczucie polskości. Pod względem moralnym musieliśmy na misji starszej młodzieży trochę więcej „soli ziemskiej“ dosypać, widocznie za mało na chrzcie św. jej udzielono.

We dwóch (ks. Błachuta i n. p.) głosiliśmy nauki misyjne, jak zwykle rankami i wieczorami, za dnia słuchaliśmy spowiedzi dość licznych i przygotowaliśmy dzieci do Sakramentu Bierzmowania, którego przy zakończeniu misji udzielił ksiądz Biskup Hoban ze Seranton, niedługo potem zmarły. Ks. Biskup przemawiał do młodzieży po angielsku. Oczy mu się iskrzyły, gdy patrzał na liczną i zdrową dziatwę polską, zapełniającą cały kościół, bo w innych kościołach pewnie tyle dzieci nie widział. Wspomniał w przemówieniu swojem, że odprawiał mszę św. przy grobie św. Stanisława w Krakowie i życzył dzieciom tego samego hartu w obronie wiary, co ich św. Patron-Męczennik. — Obecnie wakuje biskupstwo Serantońskiej djecezji, gdzie jest 40% duchowieństwa polskiego i gdzie Hodur założył smutną katedrę niezależnego kościoła. Według procentu katolików, powinni Polacy mieć w Stanach około 15 biskupów polskich, a jest ich zaledwie 2. Czy w Seranton następcą będzie polski biskup? słabe nadzieje!

Dwa tygodnie misji: jeden dla niewiast, drugi dla mężczyzn, skończyły się w uroczystość św. Jadwigi, patronki parafji; gorliwy zaś ks. Prob. Goryczka zamówił zaraz misje za lat pięć. Spotkaliśmy tu bardzo dobrą wolę u ludzi. Pogodziły się z wielkiem zbudowaniem dwie siostry. Młodsza niedość była sumienną żoną i matką. Starsza przyprowadziła ją na plebanję i tam w imieniu zmarłej matki po bożemu ją

napomniała wobec misjonarza, który widząc dobrą wolę, nie wiele miał trudu, by pobudzić siostrę młodszą do zgody i poprawy. Młodzież, zarażoną pokusą do wolności i zabaw, i z tego powodu nie przejmującą się misją, musieliśmy ostrzej napomnieć jeszcze w ostatniej nauce. To poskutkowało za łaską Bożą, bo nazajutrz, po zakończeniu misji, jeszcze sporo młodzieńców przyszło do św. spowiedzi. W okręgach górniczych jest ludność nasza prostszą i pobożniejszą, niż w centrach fabrycznych, ale za to może mocniej jest zakorzenione i rozpowszechnione wśród niej pijaństwo. Bardzo wiele domów zajmuje się wyrobem i sprzedażą wódki, czyli t. zw. moonshin (czytaj munszaju); zaczem piją wszyscy w domu. Z tego przeto nałogu przedewszystkiem staraliśmy się parafjan podnieść, zwłaszcza dla uniknięcia skutków fatalnych, jak n. p. rozswawolenie dzieci.

Wspominamy też o nadzwyczajnej łasce, zdziałanej tu przez Cudowny Medalik. Oto zaraz po misji, wiożący młodą rodzinę automobil zderzył się na zbiegu ulic z tramwajem, ulegając rozbiciu, pasażerom zaś nic się nie stało. Gdy ich pytano, jakim cudem ocaleli, odpowiedzieli samorzutnie, że przypisują ocalenie ufności, z jaką zawiesili na sobie w czasie misji Cudowny Medalik.

Buffalo N. Y. Parafja św. Łukasza (23/10 do 6/11 1926). Po Chicago, największą ilość ludności polskiej w Stanach Zjednoczonych, bo około 200.000, w samem mieście i okolicy, ma Buffalo. Najmilej w niem nastraja ucho to, że słyszy się na ulicach, nawet wśród młodzieży, mowę polską, gdzieindziej zanikającą.

W samem Buffalo jest 15 wielkich, polskich parafij katolickich i jedna niezależna. We wszystkich prawie są monumentalne polskie kościoły, a obok nich polskie szkoły, plebanje i domy Sióstr Zakonnych-nauczycielek. Nieraz kilka razy w roku jesteśmy w tem mieście z rozmaitemi posługami religijnemi. Tym razem we trzech, tj. Ks. Sup. Dudziak, Ks. Błachuta i np. dawaliśmy misje w parafji św. Łukasza, zawiadowanej przez Ks. prob. Fimowicza. Nauki głosiliśmy

w prowizorycznym kościele na parterze pod szkołą, bo na zakupionym już obszernym placu nie wybudowano dotąd kościoła nowego. Sprawa nowego kościoła utknęła z powodu pewnego nieporozumienia w parafji, do czego ludność dość skłonna.

Wychodziły tu dwa polskie dzienniki: jeden więcej lewicowy, dobrze prosperujący, drugi lepiej służący sprawie religji i polskości, niedawno zgasły, z powodu braku poparcia tych, którzyby mogli i powinni to zrobić. Kościół niezależny ma wśród ssocjalizowanych po części naszych robotników trochę wpływów i to rozzuchwala męty. Wprawdzie często zbłąkane owce wracają, ale to okupić trzeba na misji słodyczą, gorliwością, utrudzeniem, żeby penitenta nic nie kosztowało; pewnej potrzeba do tego chytrości, żeby taki nieraz grubo ograniczony myślał, że on wygrał. — Nieraz naje się Misjonarz i zawstydzenia, gdy uporny sam się nie kruszy, a innych jeszcze odciąga. Na tej misji mieliśmy kilka wypadków nadzwyczajnej łaski Bożej w naprawieniu nieprawych ślubów i ochrzczenia starszych dzieci. Ale były też znaki sądu Bożego już tu na ziemi, nad zatwardziałymi grzesznikami: dwie osoby zmarły nagle, bez zaopatrzenia, jedna z nich w publicznym, złym nałogu. Lewicowy, antykatolicki kierunek i ruch wielkomiejski sprawiają, że Buffalo jest jednem z najuciążliwszych tutaj terenów pracy misyjnej wśród naszych rodaków, po fabrykach głównie zajętych. Jest w niem już dość sporo polskiej inteligencji: lekarzy, adwokatów, urzędników, przemysłowców i handlowców, wśród których tę cechę powszechnie polską zauważyć można, że nie dość gorąco interesują się sprawami religijnemi i narodowemi. Zwracały już na to uwagę tutejsze polskie dzienniki, że inteligencję naszą, zanadto absorbuje chęć zysku. — Choć dla sprawiedliwości dodać trzeba, że w Buffalo jest lepiej pod tym względem, niż w innych centrach Polonji, ale nie najlepiej. Dość zaniedbania widzieliśmy tu w przysyłaniu dzieci do polskiej i katolickiej szkoły, w czem winni są nieraz tacy, którzy uważają się na wiecach przynajmniej za 100%-wych patrjotów polskich. — Łatwość przejażdżek

automobilowych, uciech wielkomiejskich, znacznie zatruwają tu łatwowierną naszą młodzież, a niewiasty łączą rozpasanie z cynizmem, tłómaczące się: „ja jeszcze nienajgorsza", „ja postępowa, tak jak w Warszawie, a nie byle gdzie".

Szkoły parafjalne, domy Sióstr wraz z kościołem i plebanją, stanowią w Stanach Zjednoczonych coś nieznanego gdzieindziej w budżecie i administracji kościelnej. Najpierw trzeba mieć plac obszerny w centrum parafji, nieraz i przy centrum miasta. Gdy wolnego placu niema, trzeba wykupić budynki i rozebrać je, by mieć miejsce wolne pod wspomniane parafjalne budynki. Potem trzeba, najczęściej równocześnie: kościół, szkołę, dom Sióstr i plebanję budować i urządzić z ubezpieczeniami i przepisanym ustawowo komfortem. Następnie trzeba dbać o opalanie wszystkich tych budynków i ich konserwację. Trzeba też opłacić księży, dać minimalne utrzymanie Siostrom, opłacić służbę kościelną, podatki. Skąd na to wszystko pieniędzy? Otóż na początek przyszli parafjanie starają się zebrać gotówkę, koło 50.000 dolarów w mniejszej parafji, i za to zakupić jakąś posiadłość, na którą za gwarancją biskupa, dopożycza się pieniędzy na budowę. W miarę postępu budowy, dostaje się nowe pożyczki i w ten sposób można w niedługim czasie wszystko postawić i urządzić. Szkoła polska i katolicka być musi, bo inaczej nie będą miały kościoła wiernych w przyszłości. Katolicyzm w Stanach Zjednoczonych ma ponad 18,000.000 wyznawców przy 40,000.000 sekcjarzy i 60,000.000 bezwyznaniowych. Łatwo zrozumieć, coby w takiem otoczeniu wyrosły za dzieci, które jeszcze nadto uczęszczają do rządowych szkół publicznych, gdzie nie uczą religji, gdzie każda siła nauczycielska po swojemu wpaja swoje pojęcia religji i moralności. Żeby uczenie było nie zbyt kosztowne i pokrywało się ze składek, musi się sprowadzać Siostry Zakonne, któreby uczyły, trzeba także zbudować dla nich dom, no i dać im utrzymanie. Skutki tego są nadzwyczaj zbawienne; młodzież jest mimo wszystko lepiej uświadomioną religijnie i więcej moralną, niż w Ojczyźnie, i uważa się za polską. Przytem Polacy coraz

lepiej się organizują; wytworzyli inteligencję miejscową, sięgają po urzędy, nabierają wpływu w rządzie, podnosząc równocześnie ideę polskości. Tu urodzone i w duchu katolickim i narodowym wychowane pokolenie, mające równe prawa z rodowitymi Amerykanami, coraz lepiej zadanie swoje rozumie i naprawdę może być pomocne Macierzy, o ile będzie samo dobrze zrozumiane. Zasługa tego wszystkiego, prawie wyłączna, jest po stronie kościoła i szkoły polskiej. Żeby jednak te instytucje utrzymać bez pomocy rządu, musi każdy proboszcz być i gorliwym kapłanem i dobrym finansistą, korzystać ze wszelkich sposobności, by we formie pewnych stałych rocznych opłat, dobrowolnych ofjar przy wstępie do kościoła w niedziele i święta, przez loterje o amerykańskiej pomysłowości, przez zabawy itp., zebrać potrzebne fundusze: na płacenie długów, procentów, na pensje dla Księży, Sióstr, służby kościelnej i konserwację budynków. Te koszta pochłonęły w roku 1926, w jednej parafji, liczącej 1000 rodzin, sumę 62.000 dolarów. Z tego na utrzymanie roczne samych instytucyj wydano 32.000 dolarów. Nadmienić jeszcze należy, że w szkołach parafjalnych musi się uczyć według programów rządowych, z językiem angielskim, ale dodaje się religję i język polski. Dodać także należy, że mimo świadczeń na szkoły parafjalne, muszą nasi parafjanie składać podatki na szkoły publiczne, chociaż dzieci swoich do nich nie posyłają. Nadto w szkołach publicznych dostaje dziecko książki, przybory szkolne, ma więcej pomocy naukowych, a w szkole parafjalnej muszą to wszystko sami rodzice dziecku sprawić. — Z tego można wywnioskować, jak wielką musi być ofiarność tych ludzi; jeżeli teraz ona nie cofa się, ale jeszcze wzrasta, to naprawdę musi budzić powszechny podziw. Ale są i parafjanie, duchowo słabsi, których pewna odległość szkoły parafjalnej i świadczenia na nią odstraszają, by dzieci do niej posyłać; bez wszelkich trudności posyłają je wtedy do szkół publicznych. Dla takich dzieci trzeba urządzać specjalny kurs katechizmu, a można na to wykorzystać jedynie czas przed I-szą komunją św. To znowu wymaga, by I. komunję odsuwać do

późniejszych lat. Pasterzowanie jednak wśród dzieci uczęszczających do szkół publicznych jest mało owocne, nieraz niewiadomo nawet, jak do tych dzieci przemówić. W późniejszych latach łączą się one w mieszane religijnie i narodowo małżeństwa, zwłaszcza, że obowiązek szkolny sięga do 16 roku życia dziecka, więc o niepożądane znajomości już w szkole nie trudno. Łatwo też taka młodzież bierze potem bez wyrzutu sumienia śluby cywilne i cywilne rozwody. Rozpisaliśmy się tu o szkołach, bo w Buffalo można i dodatnie i zgubne, wyżej wzmiankowane skutki dobrze zaobserwować. Chociaż szkoła parafjalna blisko, jednak znaczna część dzieci uczęszcza do szkół publicznych. Ten punkt wymagał specjalnej uwagi w czasie misji w Buffalo.

Philadelphia Pa. (14—28 listopada 1926 r.). Katolickich, polskich parafij jest obecnie we Philadelfji siedm, a powinno być więcej, ze względu na rozległość miasta 2 miljonowego, po którem rodacy nasi są rozrzuceni. Lada nieporozumienia w parafji dać mogą pole do zapoczątkowania parafji niezależnej, tłumaczonej potem odległością od kościoła. To się właśnie stało niedawno temu. — Dawna nasza parafja w tem mieście, coraz więcej maleje, bo ludzie, zaniechawszy myśli o powrocie do kraju, przenoszą się w nowe dzielnice, gdzie łatwiej o nabycie realności i pracę. Rodaków naszych może być we Filadelfji około 50.000.

Misję odprawialiśmy w parafji św. Wojciecha, istniejącej od 20 lat, może największej z polskich parafji, skupionej i najlepiej prosperującej pod kierownictwem powszechnie szanowanego Ks. Monkiewicza, pierwszego i dotychczasowego proboszcza. — Kościół św. Wojciecha, lubo dość obszerny z trudem pomieścił uczęszczających na misje, a wielu pewnie musiało odejść dla braku miejsca; ciekawymi zaś byli wszyscy, bo nasze Zgromadzenie już dawno tu misji nie dawało. Gorliwy Ks. prob. Monkiewicz, życzył sobie, żebyśmy sami wyspowiadali tę ponad 2000 rodzin liczącą parafję, dlatego pracowaliśmy tu w liczbie sześciu, tj. Ks. Sup. Dudziak, Ks. Swałtek, Ks. Wiśliński, Ks. Kozłowski, Ks. Błachuta i n. p.

Nie słyszeliśmy o jawnem sprzeciwianiu się łasce, a skutki jej widzieliśmy prawdziwie nadzwyczajne. Naprawiło się małżeństwo staruszków, od dawna nieważne. Wśród ministrantów spotkaliśmy starszych kawalerów, a nawet jednego akademika. Tu warto coś więcej o ministrantach napisać, bo stanowią oni w Ameryce, przy każdym kościele osobne stowarzyszenia, pod kierunkiem ks. Wikarego i opieką Sióstr-nauczycielek. Często są aż dwa stowarzyszenia: ministrantów starszych i młodszych. Do starszych należą, którzy już powszechną szkołę ukończyli, a do młodszych jeszcze do tej szkoły uczęszczający. Starsi usługują we święta i niedziele, a młodsi codziennie, po kilkunastu nieraz przy jednej mszy św. Przeznacza się dla nich drugą zakrystję, gdzie na kartce co tydzień wyznacza się ich do każdego nabożeństwa. Tam też są szafy na ich bardzo interesujące stroje, oraz szczotki, lustro i grzebienie, by każdy mógł się odpowiednio ustroić przed wystąpieniem w kościele. Na strój ministranta składa się sutanna, komża, kołnierz krochmalony, związany białą, jedwabną kokardą. Sutanny są koloru czarnego, fjoletowego, czerwonego i białego. Nieraz uzupełniają je pas i kołnierz tegoż koloru ze złotemi frendzlami. Czarnego koloru używa się przy nabożeństwach żałobnych, fjoletowego w poście, czerwonego przy jasnym kolorze ornatu, a białego tylko we większe uroczystości. Starsi ministranci przy wszystkich nabożeństwach noszą sutanny czarne, chociaż nieraz stosują się do kolorów zwyż wymienionych. Komże ministrantów są bardzo krótkie, na dzień powszedni z płótna, na święta tjulowe. W czasie wielkich uroczystości występują ministranci, starsi i młodsi, nieraz ponad stu, a wtenczas ubierają się w sutanny wszystkich kolorów jakie tylko są, idą do ołtarza per longiorem, inne kolory zajmują miejsca przy balaskach i po bokach prezbyterjum, a usługują przy ołtarzu ubrani w kolor biały. Prezbyterjum w Ameryce jest zwyczajnie nie duże, by więcej było miejsca na ławki w kościele. Wiadomo bowiem, że wszyscy tu w kościele siedzą, chyba w czasie wielkiego natłoku stoją we wąskich przejściach między ławkami. Toteż i ministranci

dla braku miejsca tłoczą się po każdym zakątku w prezbyterjum, a w czasie kazania siadają, niemal po pastersku na stopniach ołtarza. Procesja odbywa się wewnątrz kościoła, wąskiemi trzema przejściami między ławkami. Uczestniczą w niej oprócz duchowieństwa: ministranci, dzieci w bieli i przedstawiciele towarzystw kościelnych ze sztandarami — wszyscy inni zostają w ławkach. Skąd bierze się fundusze na stroje dla ministrantów? Po części z wkładek, jakie płacą stowarzyszeni ministranci. Nadto w czasie mszy św. dla dzieci zbierają sami ministranci na ten cel kolektę, z wielką powagą, gorliwością i zrozumieniem celu, co znowu odbija się na małych ofjarodawcach, gdy centa do koszyka wrzucają.

Jackson Mich. (5—19 grudnia 1926 r.). — Jest to miasto, około 54.000 mieszkańców liczące, przy koleji z New York do Chicago, odległe od Whitestone o 730 mil amerykańskich, czyli ponad 1100 km, tj. na odległość z Gdańska do Kołomyi. Przestrzeń tę przejeżdża się w 15 godzinach. Detroit i Jackson blisko siebie położone, są centrem warsztatów automobilowych, głównie Forda, i kolejowych, w których przeważnie nasi rodacy pracują. Polskich parafij w Jackson jest aż dwie na 700 rodzin. Przedtem była jedna, mająca wszystkie zabudowania dość porządne, ale różnice zwyczajne dawniej, między emigrantami z Małopolski, a Kongresówki, spowodowały secesję i utworzenie nowej parafji z 400 rodzinami, zatem większej, gdzieśmy mieli odprawić misje z ks. Błachutą. W nowej parafji jest na razie ładna, murowana szkoła, pod którą w suterynach jest prowizoryczny kościół. Z powodu nieporozumień między wiernymi, jakoteż wskutek częstej zmiany proboszczów, zastaliśmy pole duchowne dość zachwaszczone. Kilka żon cynicznie opuściło mężów, żyjąc w jawnem zgorszeniu. Mężowie ich okazali najlepszą wolę, ale niewiasty przyjść nie chciały. Jest jedna bolączka, dziś słabnąca, psująca panny, często i starsze niewiasty w Stanach Zjednoczonych, to łatwość przejażdżek automobilowych, przechodzącą w jawną rozpustę, mimo surowej kontroli policji. Przejażdżki te kończyły się w najlepszym razie dla je-

dnej strony powrotem na pieszo, a często smutnem ich finałem było morderstwo. To trochę otrzeźwiło, że nie jedzie się z nieznajomymi, ale między znajomymi zgorszenie nie słabnie. Trudno z tem walczyć, bo młodzież odpowiada rodzicom, że nie znają się na amerykańskim postępie, a rodzice sami często temu folgują, mając widocznie w pamięci ruską piosenkę: „pusty maty tańciuwaty, bude borsze zieć u chaty“, t. zn. puść matko tańcować, a będzie prędzej zięć w domu.

Mieliśmy tu ciekawy wypadek, potwierdzający zdanie z ewangelji, że złego ducha nie wyrzuca się prośbami, radami, zaklinaniami, ale postem i modlitwą. Dwie siostry pokłóciły się o użytkowanie skrawka ziemi między ich domami. Starsza chciała dla swojej wygody, by młodsza go nieużywała, a za to posiadłość jej kształtniejby wyglądała. Młodsza chciała postawić płot, bojąc się przedawnienia. Oto poszedł spór i urągowiska, jakby żywcem wzięte z pod Wieliczki. Młodsza siostra chciała w czasie misji doprowadzić do zgody, więc przyszła ze starszą do misjonarza, który wysłuchał najpierw starszą, potem młodszą, która gotowa była ustąpić. Ale gdy przyszło do wymiany zdań, piekło się na nowo zrobiło. Kazał misjonarz starszej odmówić pacierze na różańcu z Lourdes, a tymczasem nakłaniał młodszą — ale nic nie pomogło — wyszły bez zgody. Wtenczas ów misjonarz wchodząc w siebie, zobaczył także w sobie przyczynę niepowodzenia i potrzebę modlitw konfratrów w domu zostających; by im zaś o tych modlitwach przypomnieć, postanowił tych sporo niedołężnych słów do „Roczników“ napisać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Fr. Hładki.

Ś. p.

Ks. FERDYNAND PORTAL.



Dnia 19 czerwca ubiegłego roku (1926) zmarł w Paryżu nasz konfrater ks. Portal, który przez swą działalność nad połączeniem kościoła anglikańskiego z rzymsko-katolickim, znany jest całemu współczesnemu światu.

Ś. p. ks. F. Portal urodził się 25 sierpnia 1855 r. w La Roque, diecezja Montpellier. W 19-tym roku życia wstąpił do naszego Zgromadzenia i stopniowo przebywał w Tours (1878), w Oranie (1880), w Niceji (1882), w Cahors (1884), w Lizbonie (1887). Na Maderze spotkał się z lordem Halifaxem, który w 1867 r., mając zaledwie 28 lat, został wybrany prezesem poważnego związku t. zw. Englisch Church Union. Pragnieniem, jakby celem życia młodego lorda była sprawa unji kościoła ang., z kościołem łac., od którego ten pierwszy był odłączony od czasów reformacji w XVI wieku. Zawiązała się między tymi dwoma ludźmi odrazu serdeczna przyjaźń, z której miała wyniknąć ścisła współpraca nad połączeniem obu kościołów. Ks. Portal został niebawem odwo-

łany do Paryża, aby mógł swobodnie pracować nad tą sprawą. — Ks. Portal i lord Halifax wybrali na początek swej wspólnej działalności rozprawę na temat: ważności święceń anglikańskich. Kwestja ta została wyniesiona na forum publiczne, kiedy w r. 1894 ks. Portal, pod pseudonimem de Fernand Dalbus, wydał studjum pt. „Ordinations anglicanes", w którem co prawda nie definitywnie i ostatecznie, lecz jednak dość wyraźnie skłania się ku uznaniu ważności tychże święceń, lansując opinję niektórych teologów, przyznających kościołowi możność zmiany materji i formy niektórych sakramentów. Dziełko świetnie ułożone, żywo napisane, wywołało gwałtowne dysputy między katolikami i protestantami, zwłaszcza w Anglji, gdzie kard. Vaughan zaatakował tezę naszego konfratra. Nieprzezwyciężone trudności jakie się tymczasem od 1894 r. piętrzyły raz po raz przed ks. Portal, nie zdołały osłabić jego świętego zapału i optymizmu nadprzyrodzonego dla sprawy.

Spór gwałtowny rozstrzygnął w końcu, jak wiadomo sam papież Leon XIII, oświadczając się w bulli „Apostolicae curae", z września 1896 r., za nieważnością święceń anglikańskich.

W tem samem czasie ks. Portal zaczął wydawać publikację: Revue anglo-romaine, która po kilku miesiącach upadła. W roku 1896, zanim został wysłanym do Chalons, jako superjor tamtejszego seminarjum biskupiego, brał udział w konferencjach unjonistycznych, które urządzał w Parvżu lord Halifax; oprócz niego byli tam tacy jak ks. d'Hulst, Batiffol, literat, Fomegrieve, baron von Hugel, prałat Gaspari i kilku innych.

W r. 1899 widzimy go w Paryżu na stanowisku dyrektora seminarjum św. Wincentego przy ulicy Cherche-Midi, gdzie zaczął wydawać nowe czasopismo pt. „Petites Annales de Saint Vincent de Paul. Czasopismo to zawierało wiele szczegółów bardzo interesujących o św. Wincentym i jego dziełach. Inna publikacja p. t. Revue catholique des Eglises, rozpoczęta w r. 1904, przestała wychodzić w 1908.

W tymże samym roku opuszcza ks. Portal seminarjum, by zamieszkać przy ulicy de Grenelle. Tu zakłada stowarzyszenie t. zw. „Dames de l'Union", rodzaj zgromadzenia bez ślubów i szat zakonnych, posiadającego aktualnie jeden sierociniec i dom Pracy w Paryżu.

W 1921 roku wznawia lord Halifax konferencje, przerwane na czas wojny. Znowu w nich bierze udział nasz konfrater, a jakąż radością przepełnione było jego serce, kiedy widział w tych właśnie „Konferencjach de Malines" realizację żywionych ongiś nadziei, kiedy słyszał przyjazne wezwania Ojca św. do odłączonych od katolickiego kościoła braci. Dzięki tym konferencjom przełamano już jak wiadomo pierwsze lody; nastąpiło pewne zbliżenie, nietylko między księżmi, ale między najwyższym dostojnikiem anglikańskim i jednym z najwybitniejszych kardynałów t. j. arc. Mercier. Słuszne były nadzieje ks. Portala, gdyż z jednej strony kościół ang. nabożeństwami i praktykami religijnemi zbliża się stale do kościoła rzymsko-katolickiego, a z drugiej strony rośnie bezustannie liczba konwertytów. Według obliczeń ks. Woodlocka przechodzi rocznie 10.000 na łono Kościoła naszego.

Swoją wielką ufność w lepszą przyszłość usilnie starał się ks. Portal przelać w młodzież. Oto jakiemi słowy zakończył konferencję, wygłoszoną dnia 11 listopada 1925 r. do studentów uniwersytetu katolickiego w Lowanjum": „Młodzieży! miej ufność w jaśniejszą przyszłość, bo żyjesz w epoce, która zobaczy wielkie rzeczy, zwłaszcza w dziedzinie życia religijnego". Podczas wojny, kiedy to wróg coraz więcej zagrażał ojczyźnie, troszczył się bardzo, aby uchronić młodzież od przygnębienia i małoduszności z powodu poniesionych klęsk.

Śmierć ks. Portal, która nastąpiła w niespełna pięć miesięcy po śmierci kard. Merciera, najboleśniej dotknęła uczniów z Ecole normale supérieure, gdzie od 1900 roku był prefektem. Potrafił tam skupić młodzież katolicką koło siebie, pouczając ją o wartości życia wewnętrznego, pracy umysłowo-religijnej i apostolstwa ludzi świeckich. Tego uczo-

nego konfratra cechowała jeszcze wielka prostota, dzięki której mógł pracować owocnie wśród prostego także ludu.

Wiele dzienników i czasopism francuskich umieściło artykuły o ks. Portalu. Oto koniec artykułu, jaki podał la Croix: „W Anglji, w Stanach Zjednoczonych, w krajach skandynawskich i aż w odległych Indjach — ludzie należący do elity umysłowej, którzy już powrócili na łono Kościoła lub są na drodze do powrotu, przyjmą z boleścią wiadomość o śmierci tego, który był inicjatorem ich nowego życia duchowego. Pierwszym z tych wszystkich zapewne będzie nowy wice-król Indyj: lord Irwin, który na krótko przed śmiercią ks. Portala polecał się jego modlitwom wraz z 250 milj. swoich poddanych; przybywając do Bombaju w Wielki Piątek, chciał lord Irwin publicznie zamanifestować swoje uczucia religijne, nim jeszcze udał się do swego pałacu. Ten dostojny syn lorda Halifaxa, wybitny członek partji konserwatywnej angielskiej, budzi wielkie nadzieje. Przyszłość pokaże, co zawdzięcza ks. Portal“.

Uroczystości pogrzebowe zgromadziły koło trumny zmarłego bardzo dużo osób duchownych i świeckich. Zauważono między innymi ks. biskupa Baudrillart, rektora Instytutu katolickiego w Paryżu; Mgr. Valeri, sekretarza Nuncjatury apostolskiej; Mgr. Batiffol etc.; ze świeckich M. Canet, z ministerstwa spraw zagranicznych; M. Goyau, członka Akademji francuskiej i liczny zastęp uczniów z Ecole normale.

R. I. P.



Z podróży do Brazylji.

Siostra Wizytatorka prowincji Chełmińskiej wyjechała pod koniec lutego do Brazylji, dla wizytacji domów Siostrzeńskich, które do tej prowincji należą. Towarzyszy jej Siostra Sekretarka Stanisława Jerzykiewicz i 3 Siostry, które się ofiarowały, aby wzmocnić za słabe siły Sióstr tamtejszych. Z podróży tej nadeszły cztery listy, które zainteresować mogą Czytelników R. O. Z.

I. List S. Stanisławy.

Marokko (Dakar), Wyspy Kanaryjskie,
dnia 12, 13, 14 marca 1927.

Czcigodna Droga Siostro Nasza!

Łaska Pana Naszego niech zawsze będzie z nami!

Najpierw i przedewszystkiem dziękuję jeszcze raz za list i pamięć o imieninach.

Tyle w tym krótkim czasie tematu się nazbierało, że postanowiłam pisać tak drobno. Słabość morska minęła, ale pióro przy pisaniu drży, ba, bo też okręt w najlepsze pędzi po przez fale Atlantyku, chcąc stanąć pojutrze w Dakarze (Dakar). Silę się, by pismo było czytelne, bo słyszę jeszcze jak Siostry mówiły przy odjeździe: proszę pisać! toteż jak najchętniej pragnę się uiścić z tak miłego obowiązku, tylko dotąd było niemożliwem zdobyć się na list, — a dlaczego, wytłómaczę później.

Rozpocznę od Paryża. O godzinie 7 rano zajeżdżamy na ogromny dworzec paryski. Wychodzimy z pociągu, a tu ruch, świst, gwar, że ledwie się wie, gdzie się jest; ale niedługo czekamy, bo tam gdzieś w dali ukazują się białe kornety. Jesteśmy wybawione. Prosto też idziemy do powozu, na nas czekającego, sprawę zaś z bagażami załatwiają Siostry, które po nas przybyły, 3 Polki: SS. Adamczyk, Burzyńska i Sarnecka, pomocnica Siostry Katarzyny, przyszła sekretarka dla Polski i jedna francuska. Teraz dalej prosto ku domowi macierzystemu. Deszcz właśnie pada, jest słotno i brudno, przytem nieznośne zmęczenie dręczy biednego człowieka, więc nic i prawie nic nie widzi się z okrzyczanego Paryża. Nareszcie jesteśmy u celu. Wchodzimy, i jak to zwykle, gdy się gdzieś jest pierwszy raz, rozglądamy się, bo to wszystko, co widzimy jest nowe, ale gdzie tam, to zamało, wszystko jest dla nas święte — więc nic dziwnego. Prowadzą do góry na właściwe mieszkanie, a tu dopiero rozpoczyna się witanie właściwe, tak po naszemu, po siostrzeńsku; toteż nic szczególnego nie mam tu do nadmienienia. Po tych pierwszych koniecznych ceremonjach idziemy spocząć. Godz. 12, budzą na obiad. — W refektarzu wszystko już dla nas przygotowane. N. Siostra Wizytatorka ma miejsce przy stole, który jest tylko dla Sióstr Wizytatorek, Siostra Stanisława wśród Sekretarek, a my tam gdzie wszystkie, bo to proszę trzeba wiedzieć, że tu w domu macierzystym każda kategorja urzędniczek ma swój osobny stół. Zresztą w Refektarzu i kaplicy wszystko tak, jak u nas; tylko o jedzeniu jeszcze coś: codzień na obiad ta sama zupa, tj. rosół z bułką, a na kolację codzień sałata zielona. Pozatem w daniach są zmiany jak u nas, wszystko smaczne i dobre, a niezmiernie pożywne; pozatem jeszcze po każdem jedzeniu podają ser i owoce. Sprawę jedzenia nadmieniam tylko nawiasem, by oddać całość opisu, bo to podobno Siostra Miłosierdzia nie powinna o jedzeniu mówić. Już rozejrzałyśmy się po domu. Wypoczęte, możemy zaraz na drugi dzień rozpocząć urzędowe wizyty. — Teraz wszystko sumiennie podług daty i dnia pisać będę.

P i ą t e k 24 l u t e g o. Do Najprz. Matki prowadzi nas Siostra Katarzyna. Przyjmuje nas mile i serdecznie. Matka generalna uśmiecha się, potem parę słów zamienia z N. Siostrą Wizytatorką i koniec, bo dostać się do N. Matki, to nie tak łatwo, a przytem sprawa musi iść prędko, bo Matka G. ma swój czas już rozłożony na tyle i tyle innej pracy. Potem Siostra Katarzyna prowadzi do Sióstr Urzędniczek: Siostra Asystentka jest uosobieniem samej dobroci, a Siostra Ekonomka, typem oszczędności.

S o b o t a 25 l u t e g o. N. Siostra Wizytatorka mówi: Moje kochane dzieci, dziś pójdziemy do św. Kazimierza. Zewnętrznie nie zdradzamy, co się w nas dzieje, ale ogromnie się cieszymy. Więc obiad już tam. Czujemy się jak w Polsce, bo też tam Polska. Rekreacja, modlitwa, czytanie, wszystko po polsku, jak u nas. Po obiedzie N. Siostra Wizytatorka ogląda dom, ma się rozumieć, że się wszędzie ciśniemy za Matką, więc oglądamy także. Ależ tu naprawdę jest ładnie. Siostry mają coś około 60 dzieci (dziewczynki), ale niektóre z nich, to już dorosłe panny. Wszystkie robiły jak najlepsze wrażenie: większe w szwalni były zajęte szyciem, mniejsze lekcjami i zabawa, a wszystko wesołe i swobodne. Dalej mają Siostry może z 20 starców i staruszek, których stancyjki, powiem po cichu, mniej były przyjemne, niż u dzieci — ale jak to staruszkowie, mają swoje uwidzenia, to potem z nimi ani rusz. Dalej mają Siostry ładny, nawet bardzo ładny ogród i śliczną kaplicę, dość obszerną; w ołtarzu nadzwyczaj piękny i wielki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, znowu Polskę przypomina. Wieczorem, po głośnej kawie N. Siostra Wizytatorka wszystkie nas zapakowała w auto i dalej do domu macierzystego na kolację.

26 l u t e g o. Po mszy św. i kazaniu zjadamy śniadanie i idziemy wszystkie trzy misjonarki z S. Sarnecką do domu, w którym kiedyś mieszkała Katarzyna Labouré. Oglądamy najpierw pokoik, w którym są wszystkie po niej pozostałe pamiątki, a więc łóżko wraz z pościelą i firankami, szafki, krzesła, stoliczek, statua Matki Boskiej, którą w ogrodzie

zdobiła, pozatem w ścianie za szkłem różne drobiazgi jak: różaniec, koronka, parasol, pończochy, koszula itd. itd. Z jakiem nabożeństwem patrzałyśmy na to wszystko, trudno powiedzieć, ale łatwo Naszej Siostrze wyobrazić to sobie. Dalej idziemy do sklepu — lepiej do podziemnej kaplicy, w której spoczywa, i tam modlimy się bardzo, bardzo gorąco za wszystkich, którzy nam drodzy, przedewszystkiem zaś o prawdziwego ducha powołania. Wnętrza już opisywać nie będę, bo załączam widok tejże kapliczki. Pełne wrażeń świętych i podniosłych, wracamy do domu macierzystego na obiad.

Po obiedzie nowe niespodzianki, nowe uciechy. O godzinie 3 słyszymy: idziemy do św. Łazarza na nieszpory. Mój Ty Boże! potrzebaby 1000 języków takich jak mój, by można opowiedzieć to wszystko. Ale spróbuję. Najpierw cudowna kaplica naszych księży! Zanim się nieszpory rozpoczęły, nasi księża, czy też klerycy, wszyscy długim sznurem wychodzą z wielkiej zakrystji za wielkim ołtarzem, siadają w stalach prezbiterjum, zaś w końcu ukazuje się N. O. Generał w komży, i tak jak wszyscy inni księża, również w stalach miejsce zajmuje; rozpoczynają się uroczyste nieszpory wobec wystawionego Najśw. Sakramentu, śpiewane po łacinie przez naszych księży. Jakie to było wzruszające! Płakałam ze wzruszenia jak dziecko. Ach, jak pragnęłam, by Siostra Nasza tam także była. Tak trwało coś godzinę. Siostra Poplińska była z nami, to też zaraz po nieszporach zaprowadziła nas do Najp. O. Generała. Jak on nas mile przyjął! Prawdziwie czułyśmy się jak dzieci u ojca. Rozmawiał, śmiał się, dwa razy na coś powiedział po polsku: dobrze, dobrze; śmiałyśmy się, a on razem z nami. Pół godziny trwała ta nasza pierwsza wizyta. Patrzałam na Ojca Generała jak na świętego, tych rysów twarzy nigdy nie zapomnę, bo myślę napewno, że tak dobrymi mogą być tylko święci. W końcu pobłogosławił nam Najprz. O. Generał i wróciłyśmy znowu do domu.

27 lutego. Dziś zwiedzamy Paryż. Najpierw Montmartre, gdzie jest sławna Bazylika Serca Pana Jezusa, która się

już 50 lat buduje, a jeszcze jej daleko do wykończenia. Proszę Naszej Siostry, nawet nie popróbuję opisywać bogactwa, przepychu i piękna, które się tam spotyka; mogę tylko powiedzieć, że wszystko jest cudowne i piękne: marmur i złoto, złoto i mozaika. Do kościoła tego, który wysoko jest zbudowany, jechałyśmy stromo w górę zębatą kolejką. Drugi oglądany kościół, to katedra: Notre Dame; również trzebaby o niej osobną księgę napisać — wspomnę tylko, że będąc w skarbcu, pokazano nam ten krzyż niewielki, który król francuski Ludwik przed śmiercią darował św. Wincentemu. Nie zważając na obecnych, ucałowałyśmy ze czcią tę drogą pamiątkę. Trzeci kościół, bardzo wspaniały, to św. Magdaleny.

Dalej zwiedzamy Hotel Dieu, znany nam z żywotu św. Wincentego, który tu odwiedzał nasze pierwsze Siostry. Dziś jest to wspaniały szpital na 800 chorych, niestety z świecką obsługą. — Siostra Wizytatorka uzyskała pozwolenie i tak zwiedziłyśmy cały ten ogromny, bajecznie piękny szpital. Dalej oglądamy, choć tylko zdaleka sławne Bulwary, kaplicę królewską, bo na dokładne oglądnięcie wszystkiego potrzebaby już nie jednego, ale kilka tygodni. Ale choć się tylko jakiś czas postoi, to napatrzeć się nie można do syta tym wszystkim wspaniałościom, które w oko wpadają. A ten ruch na ulicach! Zdrowo się z domu wychodzi, ale ręczyć nie można, czy się tam cało wróci z powrotem. Auto, omnibusy, tramwaje, i jak to się tam wszystko jeszcze nazywa, wszystkiego tego pełno, jak mrowia, że nie podobna przejść przez ulicę. Lecz na pochwałę francuskiej policji dodać należy, że się odznacza nadzwyczajną uprzejmością i usłużnością. Raz np. widzi policjant francuski, że z jedną Siostrą przejść chcę na drugą stronę, a tu ani rusz; zatrzymuje więc cały ruch automobilowy jakimś odpowiednim znakiem i przechodzimy swobodnie. Innym razem na rogu ulicy również chcemy przejść; policjant się zbliża i pyta czy nie potrzebujemy jakich informacyj? Czy to nie dobre świadectwo? Tego samego dnia spotkał mnie jeszcze jeden zaszczyt, mianowicie ten, że na

chwilę wolno mi było usiąść przy biurku Siostry Katarzyny, by się na Schiffkartach podpisać. A to naprawdę zaszczyt, bo nawet sama Najcz. Siostra Wizytatorka to sobie poczytała za szczęście.

28 l u t e g o. Dziś pozostajemy w domu macierzystym, ale nie bezczynnie; z każdej wolnej chwili korzystamy, bo tu lepiej, niż kiedykolwiek ocenić umiemy drogocenny czas. Przecież te chwile należy przepędzić u grobu naszej błog. Matki, przy ołtarzu św. Wincentego, na tych świętych miejscach objawień. Ach, co to za uczucie, które serce ogarnia; kto to przeżywa, ten winien wdzięczność Bogu przez całe życie! Zawsze pamiętam o swej obietnicy, ale szczególnie tu na tych świętych miejscach, choć tak niegodna, modliłam się.

1 m a r c a. Dziś o godz. 6 rano Czcig. Siostra Ekonomka prowadzi nas na Mszę św. do św. Łazarza. — Sam Najprz. Ojciec Generał odprawia Mszę św. i podaje nam Komunję św. Co za szczęście! Tuż za O. Generałem ze Mszą św. wychodzi z zakrystji jeden, drugi, dziesiąty i ilu ich tam jeszcze było Księży ze Mszą św., tak, że wszystkie liczne ołtarze równocześnie były zajęte. Sam O. Generał nam ten dzień wyznaczył, bo miałyśmy jeszcze raz przybyć po błogosławieństwo przed wyjazdem. Po Mszy św. Siostra Ekonomka prowadzi nas do Najprz. O. Generała, dając mu do poświęcenia trzy krzyże, wielkości może 15 × 10, z srebrną pasyjką, w niklowej oprawie. O. Generał błogosławi i wkłada różne odpusty. Te krzyże, to dar dla misjonarek od Najprz. Matki G. Ojciec Generał sam je nam daje do ręki, a my mu na klęczkach z wdzięcznością ręce całujemy. Niekoniec na tem; dostaje jeszcze każda z nas, także N. Siostra Wizytatorka i Siostra sekretarka różaniec, poświęcony przez samego Ojca św., potem jeszcze po 4 obrazki. W dalszym ciągu rozmawia, błogosławi i życzy szczęśliwej podróży. Byłyśmy wszystkie do łez wzruszone dobrocią Najprz. Ojca Generała. Żegnamy, raczej Najprz. O. Generał żegna nas i obiecuje nam także, że będziemy mogły zbliżyć się jeszcze do trumny św. Wincentego, ale dopiero pojutrze, gdy nie bę-

dzie już wystawiony Najśw. Sakrament. Nie koniec na tem jeszcze; idziemy teraz do sali relikwij, gdzie cztery ogromne szafy za szkłem mieszczą w sobie święte pamiątki. Są tam szaty po naszych św. męczennikach, pasy, narzędzia tortur, 1 monstrancja, wyratowana z pożaru, podczas gdy Chińczycy nasze Siostry mordowali i kaplicę spalili, jest też czaszka po jednym chińskim misjonarzu, któremu głowę ścięto i tyle innych drogich pamiątek. Potem do zakrystji; jest tak duża, jak jeden dormitarz dziecięcy u Dietza [1]), na ścianie fotografje wszystkich OO. Generałów. Pokazuje nam brat zakrystjanin wszystkie jej skarby: drogocenną monstrancję, albę, w cenie 160 tysięcy franków, (brat powiada, tej alby nawet sam kard. Dubois nie dostanie, tylko Generałowi ją dają). Po tych oględzinach wracamy do domu, gdzie się już prawie wyłącznie myśli o naszem przygotowaniu do dalszej podróży.

2 marca. Dziś wycieczka do Clichy, dawnej parafji św. Wincentego. Ileż tam pamiątek po nim! Jeszcze ten sam ołtarz, przy którym odprawiał Mszę św., ta sama ambona, chrzcielnica, konfesjonał, w którym spowiadał, balustrada; wszystkiego się dotknęłam, wszystko ucałowałam. — Dalej idziemy do domu, w którym mieszkał, nawet ogródek jest, jak nam mówiono, taki sam, a w nim drzewo, sadzone ręką św. Wincentego. Dziś mieszka tam świecki proboszcz, ale wszystko podobno, i w mieszkaniu nawet ma być, jak wówczas było. Po południu tego dnia byłam z Siostrą Adamczyk za różnemi interesami w magazynach.

3 marca. Dziś idziemy do Relikwji św. Wincentego. Aby się tam dostać, bo to jest nad wielkim ołtarzem, trzeba koniecznie pójść po schodach. Klęczymy, modlimy się, ocieramy koronki i obrazki o św. szczątki i pełne otuchy i wiary, że św. nasz Ojciec napewno nam tam z nieba błogosławił, wracamy do domu. Tu idziemy jeszcze raz do Najprz. Matki Generalnej na pożegnanie, potem do Sióstr Urzędniczek. U Siostry Katarzyny oglądamy jeszcze pamiątki po błog.

---

[1]) Zakład wychowawczy Sióstr w Bydgoszczy (Przyp. red.).

Matce: jej kubek, używany w czasie ostatniej choroby, jej pisma własnoręczne, skrzynkę do listów, 2 jej krzyże, które być może, że nad łóżkiem miała itd. Teraz zaczyna się pakowanie na dobre, bo to dziś wieczorem o godz. 10 wyrusza nasz pociąg do Bordeaux. Kiedy byłyśmy już w pociągu, na 20 minut przed odjazdem, najniespodziewaniej pojawiają się ks. Szymbor i nasz O. Dyrektor, ks. Bieniasz. To dopiero niespodzianka! Zapewnił, że za pół roku zobaczymy się w Brazylji. Jedziemy całą noc pociągiem pośpiesznym, aż wreszcie o godzinie 7½ rano jesteśmy w Bordeaux.

4-go marca. Siostry francuskie w szpitalu dziecięcym nadzwyczaj serdecznie nas ugaszczają. Po obiedzie o 2-giej wyruszamy już powoli ku okrętowi, na który po załatwieniu różnych formalności, przepisów i podpisów, nareszcie siadamy. Dodać jeszcze muszę, że Bordeaux jako miasto portowe, wspaniale się prezentuje z swoimi budowlami i kościołami, które jeszcze widać, gdy już jest het na morzu. Na wstępie, najwięcej ciekawości stąd, jak też wyglądają nasze kabiny? Otóż bajecznie: białe na wewnątrz i zewnątrz, łóżka wygodne z firankami, wielka porcelanowa miednica, etc. — W jednej kajucie mieszka N. Siostra Wizytatorka z Siostrą Sekretarką, w drugiej my trzy; obydwie kajuty są obok siebie, tuż przy nich jadalnia, która się przedstawia jako wielki, piękny salon z ładnemi chodnikami. W 1-szej klasie to całe salony są wyłożone szczelnie czerwonemi dywanami. Teraz znów coś o naszem jedzeniu; o godz. 8 pierwsze śniadanie: herbata, kawa albo czekolada, co kto chce, i bułeczki świeże z masłem; drugie śniadanie o godz. 12, tak wygląda: na pierwsze danie jakieś marynady na zimno, potem mięsa, jedno i drugie, czasem i trzecie tak, że 4 albo 5 razy zmieniają talerze; w końcu ser, owoce, kawa. Tak codzień, więc wcale nieźle! Siostra Stanisława słusznie też zauważyła: jeżeli tak codzień będzie, to nam się nie będzie chciało zejść z okrętu. (Lecz już na 2 dzień morska choroba nauczyła nas inaczej niestety myśleć). Dalej o godz. 4-tej kawa z ciastkami, o 7 wieczór obiad, obfitszy od śniadania, bo dodają zupę i leguminę.

Żyjemy wogóle wcale po pańsku! nauczyłyśmy się np. jeść ślimaki. Niewiedząc z początku, co to jest w tych muszlach, biorę do ust: smakuje miękawo jakoś; po bliższem badaniu stwierdzam, że to ślimak, jeszcze mu te dwa rogi sterczały. Dostałam gęsiej skóry i nie ruszyłam już nic więcej. Dużo jest wesołości, ile razy sobie ślimaki przypomnimy. A teraz o naszej morskiej chorobie. Przez 2 dni wszystkie, nawet Siostra Wizytatorka, byłyśmy nie do życia; przecież to coś okropnego, szkoda tylko, że to już 8 strona, nie mogę się więc rozpisywać, bo się boję, by list nie był za obszerny. Jeszcze tak dużo mam materjału, lecz muszę kończyć ze względu na szczupłość miejsca, ale ciąg dalszy niebawem się pojawi. To co napisałam, odkryje Drogiej N. Siostrze mniejwięcej, co się z nami dzieje. Z przystanków wysłałam karty. Powietrze morskie przecudne. Dotąd nic nie widziałyśmy szczególnego, prócz mew i delfinów, rekinów ani świeć. Najniespodziewaniej okręt nasz zajechał do Marokka, ponieważ znalazł się w niebezpieczeństwie na pełnem morzu jakiś okręt hiszpański, i nasza Mosella musiała go dowlec do lądu. Już po zakończeniu mego listu, mówię do N. Siostry Wizytatorki, że jeszcze mam sporo do pisania, na co otrzymałam odpowiedź: „ciąg dalszy może Siostra pisać na następnym przystanku"; za chwilę jednak daje Siostra Wizytatorka zezwolenie. więc korzystając z niego, piszę dalej. Toć nic jeszcze nie mówiłam o życiu na pokładzie i wogóle na okręcie, o naszych rekreacjach, o przejeździe przez Niemcy i Belgję itd.

Najpierw więc życie na okręcie; o ile się człowiek czerstwem cieszy zdrowiem, wcale się ono ładnie przedstawia. Choć jest taka różnica narodowościowa i wyznaniowa wśród pasażerów, czują się jednak wszyscy jakby członkami jednej rodziny. Wyjątek stanowi kilkunastu ludzi, może to rusini, może żydzi, Bóg ich tam zna, którzy siedzą stale w swojej jadalni III. kl. i od samego rana do wieczora śpiewają, krzyczą, tańczą, czasem na nutę bardzo żałosną, czasem wrzeszczącą; nad ranem przy modlitwach swoich są ubrani w jakieś płaszcze czy prześcieradła i coś niezrozu-

miałego mruczą [1]). Wszyscy pasażerowie swobodnie im się przyglądają (wyjąwszy Sióstr), a oni jakby zadowoleni z tego byli. — O ile powietrze jest ładne, dotąd zawsze takie było, goście okrętowi przed i po południu chodzą po pokładzie, dzieci gonią i hałasują, inni przy muzyce gramofonu tańczą tak, że prawdą jest, co ks. Kłos pisał, że robaczki zapominają, że są w łupinie, i to narażone na tysiące niebezpieczeństw. Nasz porządek dzienny jest taki: pacierz ranny na pokładzie, gdy jeszcze wszyscy śpią, t. j. o godzinie 7-mej, prędzej nie można, bo marynarze okręt myją i szorują. Jak to wtenczas dobrze można się modlić, patrząc na to ogromne morze. Dalszy czas wypełnia się to pisaniem, to czytaniem albo szyciem. Rekreacja w kabinie wesoła, nawet bardzo wesoła, choć stosunkowo cicha, bo to proszę Naszej Siostry na okręcie zamiast ścian są przepierzenia, a w nich jeszcze wentylacje różnego rodzaju tak, że pewną ostrożność zachować trzeba. Dziś się nazywa: będzie niespodzianka: cieszymy się ogromnie, przychodzimy, a tu Siostra Sekretarka wyciąga kawał suchej, wędzonej kiełbasy. Każda po koleji dostaje po kawałku do ręki, a do tego jako specjał i przysmak trochę czarnej kawy. Te chwile zaliczam do najweselszych, jakie w Zgromadzeniu przeżyłam. Jeżeli niema dosyć stołeczków, to wtenczas koszyki nasze ręczne je doskonale zastępują; tworzy się wtenczas koło, szczelnie kabinę wypełniające, a nasza droga Matka, Najprz. Siostra Wizytatorka wszystko co ma, dzieli między nas. Co nasza Siostra na to? Tym, które są skłonne do zazdrości, niech nasza Siostra tego nie opowie. — Na wieczór po kolacji wieczorny pacierz, chwila na pokładzie i spoczynek.

Już 14-go marca powinien okręt nasz stanąć w Dakar. Tymczasem dopiero dziś: 16-go marca w południe tam staniemy; to dwudniowe opóźnienie wyniknęło z wypadku, o którym już niżej pisałam. Główna śruba u owego okrętu

[1]) Widocznie byli to żydzi w czasie obchodu swych świąt, które na ten czas właśnie przypadały; dla autorki listu, jako Wielkopolanki mogły te typy być nieznane. (Przyp. Red.).

uszkodziła się i okręt nie mógł ruszyć dalej, więc dopiero nasz przyszedł mu z pomocą i za tę pomoc dostanie podobno nagrodę, wynoszącą połowę wartości tamtego okrętu, a my wszyscy za dwudniowe nudy — nic. Jesteśmy więc blisko Dakaru. Jest to port w Afryce, gdzie też są nasze Siostry; może je zobaczymy. — Pierwsze afrykańskie miasto, gdzie okręt stał kilka godzin, było Cassa-Blanca w Marokku (może źle napisane, ale tak się mówi). Budowle oryginalne, białe, z płaskiemi dachami, całość przedstawia się wspaniale. Mieszkańcy, to mahometanie, już czarni, a ubiór ich też dość oryginalny: białe płaszcze szerokie i czerwone czapeczki, (fezy) chodzą boso i w pantoflach z włókna. Wszystkie kobiety mają twarze zasłonięte tak, że widać tylko oczy. — Zaledwie okręt jakiś dopłynie do portu, zaraz pełno łódek się pojawia, chcąc pasażerów dowieść do brzegu, oczywiście za porządną opłatą. Czasem też pomiędzy przewoźnikami powstaje kłótnia, bo chodzi o zarobek; każdy bowiem kto chce zwiedzić miasto, musi się dać przewieźć. Najpiękniejszy port dotąd widziany, to jednak Lisbona. Jak bajka się przedstawia! Miasto piękne, wielkie, z malowniczemi domami, pałacami i kościołami, terasowato wznosi się w górę wśród palm i zieleni. To już nie Toruń ani Świecie, choć też nad wodą leżą.

Jest godzina 2. Zajechałyśmy do Dakaru. Teraz prędko jeszcze ostatnie pozdrowienia, bo list gotów nie odejść. — Port ładnie położony, lecz nie piękny; wszystko ma jakąś cechę swoją, nam obcą, a murzynów co niemiara. Przepraszam za brak związku myśli i zdań, ale tak się spieszę, że aż mi ręka drży. Tu, tam, wszędzie słyszę: Siostro, prędko, bo list nie odejdzie. N. Siostra Wizytatorka jest zdrowa, Siostra Stanisława również, a my trzy, jak ryby we wodzie. Dzięki Bogu, bo to też na Misję. Jeszcze 12 dni, a będziemy u celu. — Choć tu gorąca Afryka, wiatr zimny wieje, ale w mieście podobno bardzo gorąco. Być może, że jeszcze do naszych Sióstr zejdziemy. Jeszcze raz tysiączne uściski i pozdrowienia wszystkim Siostrom, zaś Naszej Siostrze

i Czcigodnym Siostrom Przełożonym w Bydgoszczy ucałowanie rąk i wyrazy szacunku. *Siostra Kazimiera.*

P. S. Te fiołki są z grobu naszej Błog. Matki.

List Siostry Sekretarki.

Atlantyk, 14 marca 1927.

Za dwa dni staniemy prawdopodobnie w Dakarze w Afryce, gdzie się okręt kilka godzin zatrzyma, a skąd pragniemy znowu trochę przysłać wiadomości o nas. Mamy się dzięki Bogu wszystkie dosyć dobrze, czasem główka zaboli, to znowu żołądek nie dopisze, ale na ogół nam nie źle. Od kilku dni nie widzimy nic, tylko morze i chmury — nawet rybka się nie pokaże, zato dużo czytamy i prawie cały dzień spędzamy na pokładzie. W nocy nie bardzo wypoczniemy, bo po pierwsze bardzo duszno i ciasno w kabinie, a potem na pokładzie długo goście siedzą i głośno się zachowują, niepodobno usnąć. Skoro świtać zacznie, otwieramy sobie okienko i raczymy się świeżem powietrzem. Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka budzi się często z bólem głowy, który dzięki Bogu dosyć szybko mija. Nasza Mosella bardzo jest dumna, bo wyratowała okręt, któremu groziło niebezpieczeństwo — główna bowiem śruba się zepsuła i okręt biedny ani w tę, ani w tamtą stronę ruszyć się nie mógł. Bałwany kołysały nim okropnie, na szczęście nie był to okręt pasażerski, lecz towarowy, a załoga zapewne do kołysanki przyzwyczajona. Rano o 4-tej porozumiał się ten okręt z naszym okrętem telegrafem bez drutu i około południa dopłynęliśmy do niego. Rzucono tym biedakom liny i przyczepiono tamten okręt do naszego okrętu. Dzięki temu mamy dwa dni opóźnienia i zamiast 25 marca, staniemy w Rio może dopiero 27 albo 28-go; jeszcze nic nie wiadomo; bardzo nam przykro, że na Renowację tam jeszcze nie będziemy, lecz trudno, obowiązkiem było ich ratować. Takim sposobem zobaczyłyśmy sobie piękne miasteczko w Afryce, Casa Blanca — jest to kolonja francuska — ciekawy tu był widok. Marokańczycy przyje-

chali z swemi łódkami, aby pasażerów okrętu zabrać do miasta — wszyscy naturalnie z tego skorzystali, myśmy prawie same zostały na okręcie i z góry przyglądałyśmy się całej tej przeprawie. Zachwycałyśmy się cudnym widokiem i bawiłyśmy się Marokańczykami — doprawdy, jacy oni zabawni — ubrani w spodnie, które wyglądały jak spódnice, wszyscy na bosych nogach mieli jakieś paputki skórzane, jaczki ich podarte, i na to wszystko zarzucili jakieś płaszcze podobne do naszych fartuchów dużych z rękawami, na głowie mieli czerwone czapeczki. Jacy oni zwinni, przeskakiwali z łódki na łódkę i chodzili po nich jakby po lądzie — ogromnie są krzykliwi i bardzo gestykulują swemi chudemi rękami. Każdy zapraszał do swej łodzi tak, że nawet jeden drugiego łódź odpychał od schodów, ażeby być pierwszym. Trzeba było podziwiać odwagę pasażerów, łodzie balansowały, a oni do nich wchodzili. — Kilka godzin przyglądałyśmy się temu i wiele miałyśmy urozmaicenia. Jeden z tych murzynków w Maroku przypominał zupełnie naszego urwisza ze Żłóbka, ulubieńca kochanej Siostry Leonardy. Cieszymy się już na Dakar, gdzie zobaczymy murzynów, papugi i małpki. — Siostra Noga już teraz cała w zachwycie, a co to dopiero tam będzie. Humorek mamy wszystkie bardzo dobry i na brak apetytu też się skarżyć nie możemy. Kuchnia francuska nie jest taka jak nasza, a jak nam co jest nie smaczne, idziemy do kabiny na poprawkę — tam dostanie każda po kawałku suchej kiełbasy i raczymy się nią. Wczoraj na przykład po raz pierwszy wypróbowałyśmy naszą maszynkę do kawy, pomimo zakazu Czcigodnej Siostry Katarzyny, która miała obawę, że nią możemy okręt spalić, kiedy ryba ogonem machnie. — Mówiłam, że wody tam dosyć do gaszenia, ale nic nie pomogło. Wczoraj nas taka opanowała tęsknota za naszą kawą, że zabrałam się do gotowania, co się nieźle udało, bo kawa bardzo smakowała. Jutro przy święcie Błogosławionej Naszej Matki też sobie wyprawimy głośną kawę, a za ciastko lub placek służyć nam będzie kiełbasa. Jak dobrze, żeśmy ją sobie zabrały, bo byłby kłopot —

najgorsza, że już się kończy, ale na wszystkie święta jeszcze starczy. Od czasu, jak nas opuściła choroba morska, staramy się ćwiczenia nasze odprawiać wiernie i w godzinach nam właściwych, z tym tylko wyjątkiem, że nie wstajemy o 4-tej, bo po pierwsze jeszcze ciemno, a potem wszędzie sprzątają i szorują; trzeba im bowiem oddać, że bardzo dbają o porządek. Wstajemy o 6-tej albo w pół do 7-mej, mówimy sobie pacierz na pokładzie, również i rozmyślania tam odprawiamy — kawę podają o w pół do 8-mej. Całe przedpołudnie siedzimy na pokładzie, czytamy, pracujemy — o godzinie 11-tej jest śniadanie bardzo sute, bo z kilku dań się składające; podają masło, ale stare jak świat, jakaś jest kiszka, soczewica, albo co innego, potem ryba, mięso, ser, deser składający się z bananów, migdałów i rodzynek, czasem podadzą mandarynki albo pomarańcze. — Kawa jest o w pół do 4-tej, a kolacja, a raczej obiad o godzinie 6-tej. — Znowu tyle wszystkiego; rozpoczyna się zupą z jarzyn, a kończy się czarną kawą; wieczorem dostajemy codziennie sałatę — oliwy do niczego nie szczędzą — ciasta do obiadu podają znakomite, zawsze świeże i wyborowe. Pierwszy dzień mówiłam, że jak nas tu tak psuć będą, nie będzie się nam chciało wrócić — dziś jednak innego jestem zdania. Nie wiem, czy tyjemy tu na okręcie, bo już trzy krzesła załamały się z tych, które nam Siortra w Bordeaux kupiła — ale może też były takie słabe. Śniadanie trwa godzinę, poczem odprawiamy sobie rekreację, która zwykle bardzo jest wesoła — potem drugą w kajucie i znowu na pokład. Bardzo dużo emigrantów jedzie prawdopodobnie do Argentyny, oni sami nie wiedzą dokąd się udają — jest z nimi jakiś agent. — Jedzenie na okręcie mają bardzo dobre i wogóle trzecia klasa bardzo przyzwoicie jest urządzona. Dużo jedzie żydów z pod Pińska — modlą się wspólnie i śpiewają, ale kobiety okropnie przeraźliwie krzyczą. Podobno wielu pasażerów z I. i II. klasy wysiądzie w Dakarze, może znowu nowi przybędą. Nasz okręt mniej się teraz kołysze, pomimo, że morze prawie zawsze wzburzone. Przywykłyśmy coprawda już do tej kołysanki i nie

szkodzi nam; chyba żeby przyszła prawdziwa burza, mamy jednak nadzieję, że nas Bóg od tego zachowa. Musiałyśmy także uderzyć w pokorę i przeprosić naszą Mosellę, żeśmy ją nazwały dryndą, bo taką ostatnią dryndulą jeszcze nie jest, bywają gorsze.

Jutro święto Błog. Naszej Matki. — W szczególniejszy sposób łączyć się będziemy myślą z ukochanym naszym Domem Centralnym i duchem towarzyszyć wszystkim nabożeństwom. Smutno nam, że w dniu tak nam drogim pozbawione jesteśmy Mszy św. i Komunji św. — Jak to okropnie! W pierwszych dniach, kiedyto nam morska choroba dokuczała, nie odczuwałyśmy tak bardzo tego, ale dziś na samo wspomnienie aż serce boli — a tu jeszcze dwa tygodnie tego duchowego postu.

Atlantyk, 24 marca 1927.

Drugi List Siostry Sekretarki

(nadszedł do Chełmna 2 maja 1927 roku)

Siedzimy na pokładzie, bo wewnątrz okrętu niepodobno wytrzymać; — taki tu upał, że w ciągłych jesteśmy potach. Wieczorem udajemy się na spoczynek spocone, że suchej nitki na nas niema, a rano po prawie bezsennej nocy wstajemy zupełnie mokre. Mimo wszystkiego dosyć się trzymamy i pokrzepiamy się myślą, że jeszcze tylko cztery dni, a z Bożą pomocą staniemy u celu. Tutaj obecnie trzecia godzina po południu, a w Chełmnie już ósma wieczór. — Myślą zawsze jesteśmy w ukochanym Domu Centralnym. Odprawiamy sobie Rekolecje, bo to już Renowacja, a my niestety jeszcze na statku, bez Mszy św. i Komunji św. Bardzo nam przykro, to też już z upragnieniem wzdychamy za tem posiłkiem duchownym. Dowiadujemy się właśnie, że nie w niedzielę, lecz dopiero w poniedziałek rano będziemy w Rio, a biedne Siostry już tam od piątku nas oczekują.

Ostatni list wysłałam z Dakar, a Najczcigodniejsza Siostra Wizytatorka wysłała widoczki do Chełmna z Pernambuco.

W Dakar wjechał statek zupełnie do portu; skorzystałyśmy z tego i poszłam z S. Nogą i S. Szczęsną do miasta, bo mówili nam murzyni, że tu są Siostry. Jeden młody murzynek zaprowadził nas do nich, lecz nie były to nasze Siostry, lecz Niepokalanki. Nie zwiedzałyśmy domu całego, bo na to czasu nie było, widziałyśmy tylko klasę i szwalnię. — Najważniejsze to, że Siostry miały kapliczkę, gdzie po tak długim czasie mogłyśmy się pokłonić Panu Jezusowi; nie umiem wyrazić uczucia, jakie owładnęło serca nasze w tej chwili. Wróciłyśmy zaraz na okręt i wszystkie nasze wrażenia opowiedziałyśmy Najczcig. Siostrze Wizytatorce. Dakar to niezbyt duże miasto, prawdziwie afrykańskie; nowsze dzielnice są już po europejsku urządzone i wielu murzynów widziałyśmy ubranych po naszemu, ale wyglądali zabawnie. Następny przystanek był w Pernambuco — pierwszy przystanek w Brazylji. — Miałyśmy list do jednej z tutejszych Sióstr, i że okręt miał tam bardzo rychło stanąć, ułożyłyśmy sobie, żeby pójść do naszych Sióstr na Mszę św. Wszystkie cieszyłyśmy się już bardzo na to; niestety nie doznałyśmy tego szczęścia, bo dopiero około ósmej wolno było wjechać do portu. Czekałyśmy tak długo na przyjście tamtejszej policji i na kapitana portu, który miał okręt wprowadzić; drugą przeszkodą była ogromna ulewa, że nie podobno było wyjść. Po dziewiątej zaczęło sie wypogadzać, uzbroiłyśmy się w parasole i dalej do Sióstr: Najczcig. Siostra Wizytatorka, Siostra Noga i ja; wzięłyśmy sobie auto, bo czas był obliczony i kazałyśmy się zawieść do Szpitala Saô Pedre. Siostry przyjęły nas nadzwyczaj serdecznie, oprowadziły po szpitalu, uraczyły dobrą kawą z ciastkami brazylijskiemi, a Siostra służebna odwiozła nas autem do portu. Tutaj kupiłyśmy sobie bananów i pomarańcz, aby zaspokoić nasze pragnienie w tych strasznych upałach. Za dwa dni miałyśmy stanąć w Bakia; tutaj na nas czekała wielka i miła niespodzianka. Był to dzień Renowacji — wstałyśmy bardzo rychło, ażeby zanim okręt stanie, zmówić sobie pacierz i odprawić rozmyślanie, bo potem niepodobno się skupić dla wielkiego gwaru. Sie-

dząc na pokładzie, przyglądałyśmy się malowniczo położonemu miastu Bakia i doprawdy, że nie można było dosyć się napatrzeć, gdy w tem widzę z daleka motorówkę szybko przecinającą fale morskie, a w niej dwie Szarytki. Jak nam się dobrze zrobiło na sercu — nie wiedziałyśmy skąd się te Siostry wzięły, czy nie pojadą razem z nami do Rio na rekolekcje. Wołałyśmy z okrętu na nie, lecz były za daleko i nie słyszały, tylko ciągle nam kiwały. Długo trwało zanim policja przyjechała, lecz wreszcie doczekałyśmy się. Siostry przyszły do nas do góry i powiadają, że przyjechały po nas, abyśmy razem z niemi święto nasze spędziły. Poczciwa Siostra służebna z Pernambuco dała im znać telegraficznie, że będziemy przejeżdżały. Wielka była dla nas radość, że w dniu tak nam drogim, mogłyśmy choć chwil kilka spędzić u stóp Ołtarza. Ileśmy w domu tym doznały serca i gościnności, nie zapomniemy tego nigdy. Jest to dom sierot na 100 dziewczynek — bardzo ładnie urządzony i w wielkim utrzymywany porządku. Sióstr jest 10. Siostra służebna nadzwyczaj poczciwa, nie wiedziała już, jakby nas ugościć. Zwiedziłyśmy najprzód dom, dziewczynki różnego gatunku, bo białe i czarne, śpiewały ładnie i zdaje się nam, żeśmy się im podobały, bo żałowały, żeśmy tak krótko tylko były. Obiad wystawiły Siostry bardzo suty, ale po brazylijsku; najlepsze były owoce, przedewszystkiem ogromne zielone pomarańcze, pokrajane w kawałki — uraczyłyśmy się niemi, bo szalony upał bardzo nam dokuczał, w ten więc sposób gasiłyśmy nasze pragnienie. Po obiedzie musiałyśmy się zaraz zabierać na statek bo już o pierwszej miał odpłynąć. Poczciwa Siostra służebna z jedną ze swych towarzyszek odwiozła nas do okrętu, a kawał to drogi — najprzód automobilem, a potem motorówką — obdarzyła nas temi dobremi pomarańczami, cukierkami i babką. Każda bowiem Siostra złożyła ofiarę ze swych słodyczy, aby nam tem sprawić przyjemność. Siostra służebna na wszystko prosiła, abyśmy wstąpiły z Najcz. Siostrą Wizytatorką, gdy będziemy wracały; czuły się tem bardzo zaszczycone, że polska Wizytatorka je odwiedziła. —

Dziś przedostatni dzień na okręcie — mamy w Bogu nadzieję, że nic się już nie stanie i że szczęśliwie staniemy u celu. — Jutro się spakujemy i cierpliwie czekać będziemy przystanku.

Ps. Nie wysłałam listu, bo Najcz. Siostra Wizytatorka zamierzała dopisać kilka słów — tymczasem nie przyszło do tego; napisze sama w najbliższych dniach. Pragnę donieść Czcigodnym Siostrom urzędniczkom, że szczęśliwie przybyłyśmy do Rio, uradowane, że wreszcie się nasza kołysanka morska skończyła. Stanęłyśmy w porcie po dziewiątej rano w poniedziałek, gdzie już Siostry Flizikowska, Miszewska, Grzęsicka i jedna tamtejsza Siostra na nas czekały. Zanim wydostałyśmy nasz bagaż było już późno, tak że właśnie na obiad przybyłyśmy do Domu Centralnego. Po obiedzie poszłyśmy zaraz do łóżeczka, bo bardzo byłyśmy zmęczone. Dziś zwiedziłyśmy miasto, a jutro rano do Kurytyby, gdzie dopiero w sobotę staniemy. Raz jeszcze dziękujemy za św. modlitwę. Jutro napiszę więcej.

Abranches, 8 kwietnia 1927 r.

List Najczcigodniejszej Siostry Wizytatorki.

Jak już Siostrom najdroższym wiadomo, przyprowadził nas Bóg szczęśliwie do Brazylji. W poniedziałek 28 marca rano wylądowałyśmy w Rio de Janeiro — tam zatrzymałyśmy się dwa dni w domu Centralnym, byłyśmy także u Sióstr naszych w Szpitalu Santa Casa. Ogromny to Szpital na 1000 chorych; wszędzie przyjmowano nas bardzo serdecznie. Kochana Siostra Flizikowska była naszą przewodniczką — pokazywała wszystko, co było godne widzenia, niestety za mało było na wszystko czasu. Zawiozła nas na bardzo wysoką górę, ze szczytu której przepiękny przedstawiał się widok na całe miasto. Jechałyśmy taką kolejką jak w Paryżu na Montmartre; byłybyśmv więcej użyły, gdyby nie ten szalony upał nie do wytrzymania. Na jednym z przystanków pewien



Szkoła polska w Abranches, poświęcona w 1927.

pan zrobił zdjęcie, co Siostry widząc, odwróciły się umyślnie, aby nas nie rozpoznano — tymczasem wracając z góry, fotografje już były gotowe i jedną z nich załączam dla Sióstr najdroższych. W środę rano o szóstej wyruszyłyśmy w dalszą drogę. — Komunikacja kolejowa nie taka jak u nas; pociąg wprawdzie pospieszny i dosyć porządnie urządzony, ale takie jakieś kręte drogi, że aby się dostać do Curityby, trzeba jechać całe dwie doby. Po całodziennej podróży stanęłyśmy w Sao Paulo; tu przenocowałyśmy u Sióstr Katarzynek Niemek, które nas bardzo gościnnie przyjęły i nazajutrz o drugiej po południu jechałyśmy dalej. Cały czas dosyć się czułam zdrową, głowa względnie była grzeczna, lecz w Sao Paulo obudziłam się rano z bólem żołądka i kiszek; był to pewnie rodzaj dysenterji — okropne miałam mdłości i nogi mnie strasznie bolały, jednem słowem bardzo mi było niedobrze. Zdawało mi się, że chyba dostanę tyfusu, bo napiłam się w Rio wody, a taka była wstrętna; sądzę, że właśnie ta woda nabawiła mnie tej choroby. Około południa wstałam, bo trzeba było jechać dalej, gdyż inaczej trzebaby było tydzień czekać za związkiem do Curityby. Poczciwe Siostry dały mi dobrego rosołku z ryżem, wzmocniłam się trochę i wyjechałyśmy w Imię Boże. — Czułam się jeszcze bardzo niedobrze. Kochana Siostra Flizikowska postarała się o przedział do spania, łóżko dosyć było wygodne, usnęłam mocno, a po przebudzeniu czułam się znacznie lepiej. Spociłam się bowiem, przez co gorączka spadła. Siostra Flizikowska przyniosła kawy z bułeczką i tak do czwartej rana pozostałam w tym wagonie. Wieczorem wreszcie dojechałyśmy do Curityby, gdzie Siostra Olsztyńska z Siostrami na nas czekała. Trzema autami udałyśmy się zaraz do Abranches. Siostry domowe w pięknie przybranej izbie serdecznie nas powitały i wiele było radości. Siostra Goniakowska przyjechała na powitanie do Abranches, a Siostra Kulerska wsiadła do nas kilka stacji przed Curitybą. Towarzyszki jej, Siostra Edler, Siostra Skotarczak i Siostra Widźgowska przyszły na chwil kilka do wagonu, a potem zaraz do domu wracały. Nazajutrz

witały nas dzieci śpiewem, deklamacjami, tańcami — a była ich wielka gromadka. Po południu poszłyśmy do spowiedzi, a w niedzielę rano podczas Mszy św. odnowiłyśmy sobie nasze św. Śluby. Bardzo nam tu dobrze; domek miły i kochana Siostra Olsztyńska stara się, aby nam tu na niczem nie zbywało. Miewa się Bogu dzięki dosyć dobrze, ataku już dawno nie miała. Ludność tutejsza przywiązana do Sióstr, a zwłaszcza garną się do Siostry Olsztyńskiej po radę i lekarstwa. W niedzielę całe przedpołudnie była nimi zajęta, a i w powszedni dzień ciągle przychodzą. — Pracy mają tu Siostry wiele, bo jest ich tylko pięć, a dzieci w internacie jest około 40, do szkoły zaś przeszło sto przychodzi. Nowa szkoła już na ukończeniu, bardzo ładnie się przedstawia; w niedzielę Przewodnią ma być poświęcenie. Podniosą także starą szkołę o jedno piętro, a potem dopiero zabiorą się do Seminarjum. Co do ostatniego, niejedne jeszcze widzę trudności, a mianowicie niema w domu Kapliczki. Siostry chodzą do parafjalnego kościoła, położonego tuż przez drogę. W powszednie dni wprawdzie niema ludzi, ale za to w niedzielę przepełnienie — nie wiem, czy Siostrzyczki tak będą mogły chodzić. Mówiłam w tej sprawie z Czcig. ks. Góralem, który się tą budową zajmuje i przedstawiłam konieczność urządzenia domowej kapliczki. Obiecał zająć się tą sprawą, ale na Mszę św. będą musiały Siostrzyczki chodzić do Kościoła, bo tu jeden tylko jest ksiądz; gdyby ks. Góral dostał księdza do pomocy, byłoby zupełnie inaczej.

Dotychczas byłam u Sióstr naszych w Curitybie i Thomas Coelho, to są najbliższe dwa domy. Jutro rozpocznę wizytację w Abranches, po świętach pojadę do Curityby i na niedzielę Przewodnią wrócę, aby być na poświęceniu szkoły. — W poniedziałek zaraz dalej, najpierw do Thomas Coelho, stamtąd do Itayopolis, na Mateusz, do Rio Claro i do Prudentopolis. W czerwcu mają być rekolekcje w Prudento, nie wiem jeszcze w którym dniu przypadną, zależeć będzie od egzaminu. Koniecznie chciałabym być na tych rekolekcjach i zaraz też sama z tych Ćwiczeń św. skorzystam. Kochana

Siostra Goniatowska poprosi władze szkolne o przyspieszenie egzaminu i myślę, że zrobią ustępstwo.

Kiedy do Chełmna wrócę nie wiadomo jeszcze; chciałabym wrócić z początkiem lipca na rekolekcje, nie wiem jednakże czy mi się uda. Dużo będę miała do opowiadania, gdy mi Bóg szczęśliwie powrócić pozwoli, bo trudno wszystko opisać. Kochana Siostra Gradowska jest chwilowo w Curitybie u Siostry Flizikowskiej, bo rzeczywiście wiele tam mają pracy, tem więcej, że dzieci chorują na tyfus, dwie dziewczynki już nawet umarły. Siostrę Szczęsną zostawiłam narazie w Thomas Coelho, bo Siostra Widźgowska narzeka, że jest chora i że nie może wszystkiemu podołać. Siostra Noga pozostanie w Abranches, uczy się języka i przygląda w szkole — stara się prędko nauczyć, aby być użyteczną. Wszystkie trzy w dobrem są usposobieniu, mam więc nadzieję, że prędko się wżyją. Klimat nie najgorszy, poranki są chłodne i często pada, a w południe upał, jak u nas w żniwa; co dopiero za skwary być muszą latem?

P. S. Najświeższa wiadomość od Najczcigodniejszej Siostry Wizytatorki jest ta, że 23 czerwca wyjedzie okrętem „Ouessant" z Rio z powrotem do Polski. 15-go lipca stanie w Le Havre, uroczystość św. Wincentego spędzi w Paryżu, i zaraz potem wróci do Chełmna.



Polska Misja Katolicka we Francji [1]).

(Dokończenie).

W ślicznym kościele de l'Assomption odbyły się trzy Msze św. z kazaniami dla Polaków (a jedna dla Francuzów). Kościół podczas Mszy „polskich" po brzegi napełniony — podczas Mszy „francuskiej" satisfaisant frekwentowany. Podczas przerwy obiadowej, która jednak dla paryskich księży polskich wcale nie jest przerwą — słuchano spowiedzi, załatwiano procesje wychodźców, zwracających się z wszystkiemi możliwemi i niemożliwemi sprawami do swych kapłanów, a o godzinie 3-ciej (punktualnie!) zaczęły się uroczyste nieszpory z wystawieniem Przenajśw. Sakramentu.

Zapomniałem wtedy, że jestem w Paryżu, a miałem raczej wrażenie, że odprawiam nabożeństwo w najlepiej zorganizowanej, najznakomiciej zgranej parafji w kraju.

Kościół — już nie po brzegi napełniony — ale formalnie napchany wiarusami, stroje narodowe — krakowskie i łowickie — przepyszne girlandy świec, a przedewszystkiem śpiew polski! Jak nie buchnęli pieśniami do „Serdecznej Matki", do Dzieciątka Jezus kolendami, a gdy unisono równo, silnie i pięknie zaśpiewali psalmy nieszporne, wtedy płomienny zapał wychodźców, zdawało się, rozsadzić chciał mury kościoła. (Nie dziw więc, że b. Nuncjusz apostolski, ks. kard. Ceretti, gdy przed pół rokiem Misję polską zaszczycił swą obecnością, był zbudowany i zachwycony żywą wiarą naszych rodaków).

---

[1]) Jako dalszy ciąg artykułu o Misji Polskiej Katolickiej w Paryżu, pozwolimy sobie przedrukować z „Gościa Niedzielnego" fejleton pióra ks. J. Gawliny, opisujący nam garść szczegółów ze znojnej, duszpasterskiej działalności naszych na tej placówce konfratrów.

Po nieszporach wygłaszam kazanie katechetyczne na temat wyznaczony. Po kazaniu śpiew ludowy.

Że księża misji polskiej w pierwszym rzędzie chcą być „Ojcami duchownymi“ a mniej „Jegomościami“, przekonałem się o tem podczas całego nabożeństwa, a najbardziej podczas przemówienia ks. rektora pod koniec nabożeństwa. Z zapartym oddechem słuchali rodacy zachęt i wskazówek, ogłoszeń i przestróg, dowiedzieli się, jak postępować w myśl prawa polskiego i francuskiego przy zawieraniu małżeństw, jak sporządzić niezbędne dokumenty i papiery, jak się odnosić wobec oszustwa i złodziejstwa, pouczono ich o bezrobociu szerzącem się w Paryżu, że nie mają sprowadzać z kraju lub z prowincji przyjaciół do stolicy, słowem, dowiedzieli się o wszystkiem, czegoby im ani konsulat ani gazeta tak żywem, ojcowskiem słowem powiedzieć nie mogła.

Po nieszporach ks. rektor przyjął kilkunastu nowych członków do bractwa Przenajświętszego Sakramentu Ołtarza, a następnie przewodniczył niedzielnemu zebraniu związkowemu, podczas gdy ks. Moska, jego współpracownik, przyjmował dziesiątki interesentów, wijące się długim wężem od kościoła po historycznych schodach aż do mieszkania księży polskich.

W tym samym czasie słuchałem spowiedzi. Pierwszy penitent — Czech! (Czesi i Rusini, nie mając zorganizowanej Misji jak Polacy, uczęszczają na nabożeństwa do kościoła polskiego). O godzinie 6·30 wieczorem wykomunikowałem sporą garstkę wiarusów, z których jeden aż 14 stacyj mieszka za Paryżem.

Szczerze podziwiam pracę księży polskich, którzy opuściwszy ojczyznę, by służyć Bogu i rodakom, spełniają wielką misję.

W 1921 roku misji polskiej jeszcze nie było. W „polskim“ kościele na sumie bywało przez cały pierwszy rok 15, a na nieszporach 5 osób. Duże nabożeństwa wyrobiły się z czasem i przez mozolną, sumienną pracę ks. rektora Szymbora, który od samego początku z powodzeniem przyzwyczaił indywidualistów polskich do skrupulatnej punktualności. —

W dni powszednie odprawia się dwie Msze św., a w każdą sobotę głosi się kazanie o Matce Boskiej. Spowiedzi słucha się każdego dnia i każdej godziny. Chorych odwiedza się na zawołanie po wszystkich szpitalach olbrzymiego Paryża.

Zaprawdę: Nawał pracy, którą dzieli się dwóch księży, a powinno ich być przynajmniej czterech, gdyż praca duszpasterska nie jest jedynem zadaniem rektoratu paryskiego. Praca kancelaryjna, wyjazdy na nabożeństwa w prowincji, wyjazdy inspekcyjne są poważnym dodatkiem do mozolnego duszpasterstwa w Paryżu samym.

Że misja polska dobrze jest zorganizowana, świadczy o tem choćby ten fakt, że emigracje hiszpańska i włoska, silniejsze i starsze od polskiej — przyszły się radzić misji polskiej, jakto należy zabrać się do spraw organizacyjnych pośród wychodztwa. Misja tak zorganizowana jak nasza, jest według ogólnej opinji bez precedensu. Organizatorem i rektorem kat. misji polskiej jest ks. Szymbor ze Zgromadzenia księży misjonarzy, Ślązak. (Pierwszym organizatorem wychodźtwa polskiego w Ameryce był również Ślązak, śp. ks. Moczygemba). Ks. Szymbor, który poprzednio przez 8 lat pracował pośród wychodźtwa polskiego w Niemczech, 2 lata w Danji, a mniejwięcej rok w Belgji, jest inicjatorem „konkordatu francusko-polskiego". Organizacja misji polega na konwencji między biskupami francuskimi a biskupami polskimi, według której na czele misji stoi rektor, do którego należą wszystkie sprawy duszpasterskie w całej Francji. Konwencję tę należy uważać za nowelę do kodeksu, bo jest cesją prawną biskupów francuskich na rzecz misji. W tych diecezjach, w których są Polacy, każdy ksiądz polski, wysłany przez ks. rektora, tem samem ma jurysdykcję, a ksiądz polski, któryby się zwracał wprost do biskupa francuskiego bez polecenia misji, nie zostaje przyjęty przez biskupa francuskiego, a jurysdykcji nie otrzymuje. Mandat zaś nad wychodźtwem wykonuje w imieniu całego Episkopatu Prymas Polski. Polska Misja katolicka jest koniecznością duszpasterską, gdyż księża francuscy wcale nie władają językiem polskim.

Na całą Francję np. tylko jeden ksiądz francuski wygłosi przemówienie polskie z akcentem francuskim, a trzech księży z trudem może przeczytać ewangelję niedzielną w polskim języku. Zbyt nagle dla nich napłynęła po wojnie olbrzymia fala wychodźtwa polskiego, liczącego 600.000 do 800.000 osób. (Zupełnie inne stosunki panują w Polsce, np. w Łodzi i na Śląsku, gdzie każdy ksiądz Polak znakomicie włada językiem niemieckim i starannie opiekuje się katolikami niemieckimi).

Misja ma dla omawiania spraw organizacyjnych przy swoim boku t. zw. „radę misji“ w Paryżu, która się zbiera co miesiąc. Do niej należy pięciu księży.

Na prowincji misja jest podzielona na cztery dekanaty, mianowicie: dekanat paryski, dekanat północnej Francji, (dziekan ks. Masny w Oignies), dekanat wschodniej Francji (dziekan ks. Kudłacik w Metz) i dekanat południowej Francji (dziekan ks. Ryba w Les Gautherets). — Wszędzie można skonstatować brak księży polskich. Dla 600.000—800.000 Polaków pracuje 30 księży, (5 ze Zgromadzenia księży Misjonarzy, 25 księży świeckich z wszystkich diecezyj polskich).

Dlatego, że liczba księży polskich jest stosunkowo mała i że wszystkich Polaków ani osobiście ani przez księży polskich dosięgnąć nie mogą, utrzymuje misja polska jako misjonarza pomocniczego tygodnik ilustrowany katolicki (16 stronicowy), który nie uprawiając absolutnie żadnej polityki, jest tylko organem interesów katolickich wychodźtwa polskiego. Tygodnik „Polak we Francji“ w trudnych warunkach drukarskich pracuje niestety z deficytem.

Drugi moment, dla którego musi być wydawany organ katolicki, jest to, że jak na każdem młodem wychodźtwie we Francji żerują przeróżne pół „inteligentne“ szumowiny, które starają się swoją ideologję i mentalność wciskać w zdrowe zresztą wychodźtwo polsko-katolickie. (Zdrową jest zwłaszcza ta część wychodźtwa polskiego, która wyszła z Westfalji). Chociaż pism, wychodzących na emigracji we Francji jest aż 11, to jednak jedynie szczerze katolickiem

czasopismem jest „Polak we Francji“, a wszystkie inne są mniej lub więcej skrajne, połowa zaś z nich jest przynajmniej komunizująca, jeżeli nie wprost bolszewicka!

Wróćmy jednak do pracy misji. Ks. Rektor założył związek towarzystw polskich katolickich, ukonstytuowany na zebraniu walnem w Lens dnia 5-go listopada 1925 roku. (Obecnie 12.000 agregowanych członków). Prezesem związku jest pan Szambelańczyk, górnik w Bruay. Do technicznej pomocy dla związku towarzystw kościelnych założony został sekretarjat generalny, którego sekretarzem jest obecnie ks. Garstecki w Lens.

Kiedy powstała emigracja polska chaotycznie i programu nikt jej nie dawał, nikt też nie myślał o szkolnictwie. Pierwsze klasy polskie zorganizował ks. Szymbor, zaangażowawszy 28 polskich sił nauczycielskich, a dopiero w sierpniu 1925 roku zaapelował do rządu po specjalnego inspektora polskiego, i wtedy tę pracę oddał Min. W. R. i O. P.

Misja polska we Francji obejmuje również Afrykę. Tak zorganizował ks. Rektor duszpasterstwo w Algerze, a ks. Janiewskiego posłał z duszpasterstwem do Dżebel Kuif, gdzie wielu rodaków pracuje w kopalniach fosfatu. — Zbadawszy podczas podróży wizytacyjnej w Afryce sprawę kolonizacyjną, objawy atmosferyczne, tereny pracy itp., doszedł ks. Szymbor do rezultatu ujemnego i stanął opozycyjnie do ewentualnej dalszej emigracji polskiej do Afryki.

Summa summarum: Księża polscy, a zwłaszcza ksiądz Rektor położyli, pracując do upadłego, niespożyte zasługi około organizacji wychodźtwa polskiego we Francji. Warunki, pośród których na obczyźnie żyją i pracują, wymagają sporego zasobu energji, idealizmu, a nawet heroizmu.



KRONIKA.

Brazylja.

Życie religijne Polaków w Brazylji.

(Dokończenie).

Z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, a już z tygodnia na tydzień rośnie fala wychodźcza polska, rozlewając się z hukiem i szmerem nabrzmiałych sił żądnych pracy po dalekich, a najrozmaitszych zakątkach i krańcach świata. Wzrokiem tęsknym nadążyć już trudno za temi kluczami żórawiemi, z żalu odlatującemi za chlebem i osiadającemi w większych i mniejszych skupiskach zagranicznych. Między największe jednak zespoły wychodźcze poza Stanami Zjednoczonemi i Francją należy policzyć emigrację brazylijską, od dziesiątków lat już zasilaną niemal bezustannie, skupioną w kulturalnej pracy narodowej i mającą już oblicze o pewnym, acz nie wybitnym jeszcze wyrazie.

Pierwszym Polakiem, który postawił awanturniczą stopę na ziemi brazylijskiej był Krzysztof Arciszewski, co to jako kapitan okrętowy Holendrom się wysługiwał i gotów był za nich drogą krew przelać. W czasie wojny ze znienawidzonymi Hiszpanami wylądował on tu poraz pierwszy w r. 1629, a potem dwa razy jeszcze do r. 1639 ponawiał swoje niebezpieczne przeprawy.

Właściwa emigracja do Ameryki Południowej rozpoczyna się dopiero dwa wieki później około r. 1850, kiedy to przybijają do gościnnych brzegów Polacy, których nazwiska się tam jeszcze dziś wspomina, jak Aleksander Sabina Tomaszewski, a po r. 1863 już cały szereg inteligencji, jak Jan

Iwanowski, późniejszy jenerał w wojsku argentyńskiem, inżynier Wysocki, Karol Löwenchard, profetor w Tucuman, inżynier Rościszewski, którego żona serdeczną opieką otoczyła nieszczęśliwe ofiary handlu żywym towarem i tylu innych. Znaleźli oni chleb i ognisko w Argentynie.

Lecz „ziemią obiecaną“ dla ludu polskiego stała się Brazylja. Dokąd to zaczęły od r. 1863 napływać rzesze wychodźcze z początku na tułaczą poniewierkę i nadludzkie wysiłki w pracy kolonizatorskiej. Tak pierwsze 16 rodzin górnośląskich jakie przybyły na niemieckim okręcie „Victoria“, nie mogąc znieść niedoli w Brusque, w stanie Sta Catharina, poprostu uciekły i puściły się w daleką wędrówkę do Parany, gdzie znalazły opiekę u polskiego inżyniera Edmunda Sebastjana Woś-Sapowskiego, żyjącego jeszcze dziś w Kurytybie.

Bohaterscy ci Górnoślązacy wraz z 64 rodzinami, jakie przybyły w r. 1876 z Pomorza i Małopolski, położyli podwaliny pod dalsze wychodźtwo w Paranie, zasilane „gorączką emigracyjną“ z lat 1885, 1890—1895.

Praca tych pierwszych wychodźców wśród opłakanego bytowania była straszliwa. Trzeba było wśród głuchych i mrocznych puszcz okno wyrąbywać ku światu cywilizacji i przygotowywać sobie dopiero „rossy“, mające rodzić „fiżon“ czyli czarną fasolę, „herwa mate“, czyli zieloną herbatę itp.

Gigantyczne te zapasy z dziewiczemi lasami wnikliwie, acz tam nie była, opisuje Marja Konopnicka w „P. Balcerze w Brazylji“ (W puszczy II).

Z okrutną w puszczę lud rzucił się mocą,
Ciąć one bory stojące z prawieka.
Tylko te ręce, te serca dygocą,
Tylko ta dusza w siekierę ucieka.
Huczą topory dniem i huczą nocą...
Nie patrzy słońca i świtu nie czeka
Ta przesilona praca, co się zdało,
W pień, do korzenia puszcz zwali tę całą.

. . . .

Więc było patrzeć na te batalije,
Na Wyrwidęby te i Waligóry!

Prężą się karki, wzdymają się szyje,
Żył widać bicie wśród spalonej skóry,
Aż świśnie topór, huknie, jak grom bije...
Kwietnych plątańców pękają wnet sznury,
Małpy z gałęzi skaczą z dzikim wrzaskiem
Z gniazd ptactwo leci, siejące piór blaskiem.

To też niektórzy zrażeni nie tyle pracą, ile dziwami bujnej przyrody, obcej i obcego otoczenia, żarci tęsknotą za ojczyzną, kościółkiem wiejskim i zaciszem cmentarza, poczęli się oglądać za drogą powrotną. Lecz ci co wytrwali, zapuścili korzenie w urodzajnej ziemi brazylijskiej i dziś już idzie trzecie i czwarte pokolenie, zrodzone na ziemi obcej, nie bardzo już tęskniące za nieznaną Polską. Nawet i ci, którzy w młodocianym sercu zabrali z sobą za morze jej obraz, jeno po cichu wyśpiewują swoją tęsknotę jak ów świetnie się zapowiadający Józef Stańczewski, który oczarowany nowem otoczeniem oto tak na gęśli swej brząka:

Możebym i został w tej krainie wiosny,
Osiadł nad Igłasem wśród dziewiczych lasów
Gdyby nie ach! zdala zamiast tych pinjorów
Ciągle nie szumiały nasze polskie wiosny...

. . . .

Możebym i śpiewał jak mieszkańcy leśni
O zielonych kampach i ganczowskiej doli,
Może i przygrywał na trójstrunnej wioli,
Gdybym mógł zapomnieć nasze polskie pieśni.

Wytwarza się już nawet z luźnego materjału wychodźczego coraz więcej krzepnące w sobie społeczeństwo, nieśmiało poczynające się krzątać około własnej prasy, literatury, nauki. Warto się więc nieco przypatrzeć liczbom statystycznym tych rzesz, rozproszonych na takich obszarach, jak od Zakopanego po Dźwińsk. Mieszkają tu Polacy głównie w trzech południowych stanach Brazylji: w Parana, w Sta Catharina i Rio Grande do Sul. Obliczenia należy brać na trzeźwo, bo dużo tu bredni krąży po naszych pismach [1]). Według Stefana

[1]) Por. np. „Zwiastuna ewangelicznego“ z Warszawy (z 28. IV. 26), gdzie liczbę Polaków w Brazylji podaje się na „dwa miljony“.

Szumowskiego, który w r. 1924 zwiedził wszystkie trzy stany i X. Józefa Górala zasłużonego i światłego proboszcza w Abranches jest tu Polaków tylko 125.000.

Jest to jednak największy zespół polski w Ameryce Południowej. Dla porównania zestawmy liczby Polaków w innych krajach tego odległego świata; nie są one ścisłe, ale prawdopodobne według obliczeń różnych podróżników. Więc mają:

Argentyna (wedle dr. J. Włodka)	.....	16.000 Pol.
Peru (wedle przypuszczeń)	....	3.000 „
Chili „ „	....	1.000 „
Boliwja „ „	....	1.000 „
Colombia „ „	....	500 „
Ecuador „ „	....	500 „
Venuzela „ „	....	300 „
Urugay, Paraguay, etc.	....	200 „
Razem w Połd. Am.	. .	22.500 Pol.

(Świat Parański, Curitiba z 11/XI. 1925 r.)

Pod względem kościelnym większa część Polaków należy do diecezji kurytybskiej, utworzonej przez Papieża Leona XIII. w r. 1892. Pierwszy jej biskup D. José de Camarago Barros († 1906 r.) zajął się szczerze losem polskich wychodźców, sprowadzając dla nich z kraju kapłanów, zwłaszcza ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Obecnie jest tu biskupem D. Joseo [1]) Francisco Braga. Urodzony w mieście Pelotas, 24. sierpnia 1863 r. kształcił się w gimnazjum w Niemczech, a seminarjum przeszedł w mieście Marianna. Wyświęcony na kapłana w r. 1900 został już dwa lata później biskupem w Petropolis, a w r. 1907 w Kurytybie.

W olbrzymiej co do obszarów diecezji było w r. 1924 tylko 30 parafij, księży świeckich 20, a zakonnych 116. Radzi się nad tem, by diecezję kurytybską podnieść do godności

---

[1]) Jan (Joâo). Przyp. red.

archidiecezji i utworzyć dwa nowe biskupstwa w Ponta Grossa i północnej części stanu Parana [1]).

Polacy mieszkają tu zmieszani z innemi narodowościami, znowu z wrogiemi. Obok Niemców, którzy dla katolickiej ludności wydają w Kurytybie trzy razy w tygodniu pismo „Der Kompass“, są i Rusini, dla których Bazyljanie wydają pismo „Pracia“ w Prudentopolis [2]). Na czele ruskiej misji, która liczy kilkadziesiąt tysięcy dusz stał w r. 1923 O. Markjan Szkirpan, mieszkający w Irasema pod Itayopolis. (Kaliendar sw. Jozafata na rik 1924, str. 278). Duszpasterzami dla Polaków są po większej części księża zakonni, podczas gdy dawniej przeważali świeccy. Z zakonnych pierwsi poświęcili się tu pracy duszpasterskiej dla Polaków OO. Werbiści, wezwani przez biskupa Camarago Baros'a, a są czynni tak dla Polaków jak i dla Niemców [3]). Zasłynął z nich w kolonji Muricy pierwszy proboszcz O. Dworaczek, którego parafjanie tak kochali, iż po jego śmierci w r. 1909 zwłoki jego sprowadzili ze szpitala z odległego San Paulo, bo uważając go za świętego, chcieli go mieć między sobą.

W najnowszych czasach zjawili się tu synowie X. Bosko. Od 20 stycznia 1924 r. objęli Salezjanie wielką parafję polską w stanie Rio Grande do Sul w San Feliciano, gdzie wybitną działalność rozwinął i na polu szkolnem ks. Konstanty Zajkowski. Dalej dla Polaków pracują Franciszkanie, i kilku księży świeckich.

Przeważną część parafij obsługują tu jednak Ks. Misjonarze, wezwani przez biskupa Barros'a w r. 1903. „Dzieje tej pracy — to złota księga prowincji polskiej Zgromadzenia

---

[1]) Dla Parany utworzono biskupstwo w Jacaresinho. Pierwszym biskupem został ks. Ferdinando Taddei z naszego Zgromadzenia; był dotychczas superjorem w Kurytybie. Konsekracja odbędzie się pod koniec czerwca b. r. (Przyp. red.).

[2]) Od r. 1925 wychodzi w P. Uniâo druga gazeta rusińska „Chliborob“, walcząca z „Pracią“. (Przyp. red.).

[3]) Polakom służą Werbiści w miarę koniecznej potrzeby; w duszpasterstwie weszli raczej na tory międzynarodowe.

Księży Misjonarzy". Mieli oni tu w r. 1924 w całości 13 parafij, a wszystkich misjonarzy było 22, w zależności ciągłej zostają od prowincji polskiej. Przez ciąg dwudziestu lat zdołali oni przeorać misjami wszystkie większe skupienia polskie w Brazylji.

A jak wygląda praca parafjalna i społeczna tych pionierów kultury? Naprzód uderza w oczy wybitna skrzętność w budowaniu kościołów, których w ostatnim czasie niemal co rok przybywa kilka. Tak wykończył w r. 1925 ks. Jan Zygmunt piękny kościół choć drewniany w kolonji Antonio Olyntho, a ks. Paweł Warkocz w Iraty. W Itayopolis dokonał wspaniałego dzieła ks. Jan Kominek, dźwignął największy kościół polski w Połd. Ameryce; jego 56 mtr. wysoka wieża, już zdaleka głosi chwałę ofiarności polskiej.

Do budowy nowego kościoła przystąpiły kolonje Guarany-Mirim i Massaranduba, wspólnie z Włochami kolonja Guarany w Rio Grande de Soul, a kolonja Orleans miała w r. 1924 gotowe już prezbiterjum nowego stylowego kościoła[1]).

Drugą ważną troską duszpasterzy, to szkoła. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Brazylji panuje straszliwa ciemnota, od 50 lat nic a nic nie ustępująca. Analfabetów liczy się na 85% do 90%. Dzięki osadnikom niemieckim, włoskim i polskim trzy te stany południowe należą do najwięcej oświeconych, a najwięcej zdziałał tu znowu Kościół. By całą sieć szkół utrzymać w ruchu i rozbudowywać, założyli Księża Misjonarze w r. 1921 Związek „Oświata" i temu podlegało w r. 1924, 113 szkół. Najlepsze były pod kierownictwem sióstr zakonnych Szarytek z Chełmna i „Rodziny Marji ze Lwowa. Dla Związku ustanowiono osobnego nauczyciela wędrownego, którym był Józef Stańczewski. Ponieważ rząd portugalski zażądał od nauczycielstwa rzetelnej znajomości języka portugalskiego, umożliwili Księża Misjonarze chętnym kursa dokształcające. Od czasu istnienia tych kursów do roku 1924 uzyskało 29 sił nauczycielskich dyplomy rządowe.

---

[1]) Jest obecnie na ukończeniu.

Pierwsze Szarytki wysłała dotąd S. Giersberg w roku 1904, zakładając 5 domów w Paranie. Mają one tutaj i szkołę gospodarstwa domowego dla córek osadników przy wszystkich sześciu domach, a zwłaszcza w Abranches, Thomas Coelho, Rio Claro, Prudentopolis, S. Matheus i Itayopolis. Począwszy od 12 roku życia mogą się tutaj dziewczęta kształcić, na szczególne żądanie uczy się języków i muzyki. Niestety, osadnicy za mało korzystają z tego dobrodziejstwa, zaledwie około 100 dziewcząt uzupełnia tu swoje wykształcenie. (W roku 1927 było 200).

Obok szkół szerzą oświatę i stowarzyszenia kościelne jak Dzieci Marji, Sodalicja męska, Matek chrześcijańskich i świeckie, noszące rozmaite nazwy królów polskich, także zawodowe, jak kółka rolnicze. Wszędy dociera wpływ księdza dobroczynny i postępowy. Tak dzięki współpracy Księży Misjonarzy ma Towarzystwo Kółek rolniczych na najdawniejszej placówce tych Księży w Thomas Coelho własny budynek. A znowuż w Orleans pod Kurytybą urządziło w maju 1923 roku wystawę rolniczą, która była pierwszą w Paranie.

Spora liczba polskiej młodzieży uczęszcza również do średnich i wyższych zakładów naukowych brazylijskich. Procent Polaków w jedynem w Kurytybie gimnazjum „Gimnasio Paranaense“ sięga 12 procent, a na kilkudziesięciu studentów w uniwersytecie, Polaków jest 8.

W seminarjum duchownem rodaków naszych jest tak dużo, że za staraniem polskich Księży Misjonarzy, biskup kurytybski uznał za konieczne wprowadzenie, jako przedmiotu obowiązkowego, również i języka polskiego [1]).

Od półtora roku, jak podaje „Gazeta Polska w Brazylji“ z 16 czerwca 1926 r., rozwija pożyteczną działalność organu jednoczącego „Sekretarjat delegacji szkolnej towarzystw oświatowych“.

Nie zaniedbuje się tak potężnego środka, jakim jest prasa. — Na tem polu szczególnie czynni są znowu Księża

---

[1]) Może tu chodzi tylko o małe Seminarjum biskupie, gdzie w r. 1924 wykładał nasz konfrater ks. St. Piasecki język polski.

Misjonarze, a ośrodkiem całego ruchu wydawniczego jest Kurytyba. Po upadku „Polaka w Brazylji“, najgłośniejszego tu pisma w roku 1924, powstaje „Lud“, który pod kierownictwem Księży Misjonarzy nabiera coraz więcej rozmachu. Wychodząc dwa razy w tygodniu pod redakcją ks. Stanisława Piaseckiego, ożywiony łącznością z krajem, zyskał sobie kilka tysięcy abonentów i stał się najpoczytniejszem pismem w Brazylji. Obok tego wychodzi poczytny tygodnik: „Gazeta Polska w Brazylji“. Więcej religijno-literackim jest miesięcznik „Przyjaciel Rodziny“, którego coroczne kalendarze rozedrgane życiem szczeropolskiem mają głębsze znaczenie ze względu na gruntowne wiadomości o życiu miejscowem. Już na poziom naukowy dźwigał się „Świat Parański“ dzięki poważnej pracy Józefa Stańczewskiego, młodego nauczyciela z naszego Pomorza. Zawierał on bogaty materjał, zwłaszcza historyczny, statystyczny, lingwistyczny, wykazujący dowodnie, jak duch polski zmienia się i urabia pod naporem obcych warunków. Podobnie jak w Stanach Zjednoczonych wytworzyli sobie Polacy i tutaj osobną gwarę, naszpikowaną portugalszczyzną. Niestety na numerze szóstym pod koniec roku 1925 wyczerpuje się to arcypożyteczne wydawnictwo młodego i wykształconego entuzjasty, który jest zarazem i wcale miłym poetą. Chyba Księża Misjonarze podtrzymujący to pismo znowu je wskrzeszą.

Duch polsko-katolicki zdążył się w ciągu ostatnich lat wybitnie zaznaczyć i na zewnątrz, zwracając na siebie uwagę miejscowych władz. Odrodzenie Ojczyzny przyjęte entuzjastycznie przez szerokie koła wychodźcze, podziałało na nie ożywczo. Więc postanowiono w czasie uroczystości, obchodzonych na pamiątkę wyzwolenia Brazylji w r. 1892, wdzięczność wobec nowej ojczyzny okazać osobnym pomnikiem. Szczęśliwie się złożyło, że polski rzeźbiarz, który w młodym wieku przybył dotąd z Brzeżan i kształcił się za pieniądze bogatego Brazyljanina w Kurytybie, Joao Jaco (Jan Żak), bawił właśnie w stolicy parańskiej. Chętnie podjął się tego dzieła i wykonał symbolicznego „Siewcę“, odlewając go ze

spiżu w swojej pracowni w Rio de Janeiro, latem 1924 r. Z powodu zaburzeń rewolucyjnych w sąsiednim, najkulturalniejszym stanie S. Paulo odłożono uroczystości odsłonięcia do 18-go lutego lutego 1925 r. Pamiętny to był dla całego wychodźtwa dzień, uświetniony obecnością biskupa Jana Braga, prefekta dr. Garcez Moreira, kilku konsulów państw zagranicznych, ożywiony przemowami: portugalską dr. Mirosława Szeligowskiego, prezesa komitetu budowy, francuską konsula polskiego Zbigniewa Miszkego, znowu portugalską prefekta i wreszcie polską Wawrzyńca Jasiocha, osadnika z Araukarji. — Do podniesienia uroczystości przyczynił się i różnobarwny gaj sztandarów stowarzyszeniowych i miły wieczór, urozmaicony przemówieniami jak ks. Jana Rzymełki, Misjonarza, konsula, śpiewami, deklamacjami, tańcami. Pomnik „Siewcy" królujący na poczesnym placu Senador Correia, blisko dworca, głosić będzie i opowiadać całym pokoleniom najrozmaitszych wychodźców o niespożytości i szlachetności ducha polskiego, opowiadać w językach krajowym i polskim, bo tak brzmi napis na cokole: AO BRAZIL-em commemoraçao do primeiro centenario da sua independencia — A COLONJA POLACA — 1822—1922 — BRAZYLJA — Ku upamiętnieniu pierwszego stulecia niepodległości — KOLONJA POLSKA.

Warto tu wspomnieć, że znacznie wcześniej, bo 18-go stycznia 1920 r. odbyło się poświęcenie i odsłonięcie pomnika Odrodzenia Polski w sąsiedniej Argentynie w Apostoles. Miejscowość ta leżąca w prowincji Missines, w której jest najwięcej Polaków, bo 10.000, dzięki ruchliwości Księży Kuczery i Marjańskiego oraz Piotra Jóźwiaka, przewodniczącego Towarzystwa Kazimierza Wielkiego, zdobyła się pierwsza na pomnik, poświęcając go najwyraźniej myśli o odrodzeniu i tłumnie zjechali na uroczystość poświęcenia. Pomnik wyobrażający Zbawiciela, który lewą ręką przytrzymuje olbrzymi krzyż, a prawą wznosi gestem nauczającym, przypomina on monumentalny posąg, jaki stoi na przełęczy górskiej między Chili i Argentyną na wysokości 4000 m.

Przedstawiwszy strony jasne wychodźtwa brazylijskiego, nie można pominąć i ciemnych. Bez ogródki trzeba powiedzieć, że grozi mu wynarodowienie tem pewniejsze, że rząd brazylijski dąży do zamalgowania różnobarwnych i różnolitych metali narodowościowych. Jeszcze kościół, jak czasu rządów zaborczych w kraju, tak i tu jest filarem narodowości, mając z drugiej strony oparcie w jednostkach patrjotycznych. Ale z rozmaitych stron czyhają niebezpieczeństwa na duszę osadnika. Najgroźniejszem bez wątpienia jest jego zmaterjalizowanie się, ta przeklęta gorączka złota. Trzęsiony nią zaprzęga nie tylko siebie, ale całą rodzinę, nie wyłączając i dzieci nieletnich w twarde jarzmo nadludzkiej roboty. Bogaci się, jasna rzecz, nawet lśni i puszy się szychem bogactwa, ale w kulturze duchowej się cofa. Na pisma i gazety żałuje nieraz rocznie 10 milrejsów, ale na cachas (kaszas) czyli wódkę wyrzuca i tysiące. Pod wpływem leniwych i niekulturalnych kaboklów czyli dawnych osadników brazylijskich i religijnie się zaniedbuje, bo zaraża się ich obojętnością, ograniczającą się do przyjmowania dwóch sakramentów: chrztu i bierzmowania. W rządowych szkołach nie uczą religji, a do polskich nieraz daleko, i osadnikowi żal czasu i pieniędzy, by dziecko choćby dostatecznie do św. sakramentów dać przygotować. Księża przebywający konno olbrzymie przestrzenie nie wszędzie mogą dotrzeć do szeroko rozrzuconych osad. — Mimo wszystko lud polski pod względem pobożności przykładem przyświeca innym narodowościom. Lecz niektórzy, zbogaciwszy się, gardzą ubogim kościółkiem polskim, a pchają się do portugalskich czy innych.

W ostatnim czasie wzmaga się agitacja przeciwkościelna, rozedrgana echami starokrajskiemi. Wprawdzie 90% ludności rozwija się jeszcze w cieniu Kościoła, ale ciągle czają się na nią zakusy liberalne. Ogniskiem ich to „Świt", który od r. 1918 przechodząc w ręce najrozmaitszych redaktorów, dostał się pod kierownictwo dr. Szymona Kossobudzkiego, znanego tu wroga Kościoła. Ujawniają się i wpływy kościoła narodowego, nie tyle hodurowców ile huszniaków, tem śmielej wy-

stępując, że popiera je „Świt“. Nauczyciel Wójcik stał się tu najgłośniejszym apostołem nowinek religijnych, pałając nienawiścią do wszystkiego co katolickie. Kiedy Salezjanie w S. Felicio dowiedzieli się o poglądach tego „wilka w owczej skórze“, nie przyjęli go, kiedy się zgłosił na kierownika szkoły.

Obraz wychodźtwa brazylijskiego nasuwa dwie drogi rozwiązania zawiłej kwestji, jak je ratować. Trzebaby albo umożliwić dzielnym tym pracownikom powrót do Ojczyzny, co byłoby w obecnych warunkach rzeczą niełatwą, albo zasilić wychodźtwo to, bądź co bądź żywotne, nowemi siłami. Parana o klimacie łagodnym, a przy tem zdrowym, bo leży wysoko ponad morzem, urodzajna, ma jako kraj kolonizacyjny wielką przyszłość przed sobą. — Nadaje się szczególnie dla rolników, a ponieważ coraz poważniejsze powstają skupiska, i dla innych fachowców, a także kupców.

A że duszpasterstwo organizuje się tu coraz lepiej, że zapewniony jest przypływ sił z Polski, że między Polakami znachodzi się więcej powołań niż między Brazyljanami, że rząd przychylny Kościołowi, więc pod względem religijnym lepiej tu będzie katolickim wychodźcom, niż we Francji czy Niemczech, a nawet z pomocą Kościoła uda się wytworzyć poważny zespół kulturalny.

Stradom. Uroczystości ku czci nowych Błogosławionych. W październiku ubiegłego roku, dzwony wiecznego miasta spiżową pieśnią obwieściły światu radosną nowinę, że namiestnik Chrystusa na ziemi uroczyście przyznał aureolę Błogosławionych 191 nieustraszonym wyznawcom Chrystusa, wśród których Zgromadzenie Księży Misjonarzy liczy trzech synów. Radością rozbrzmiewa niebo, ciesząc się z publicznej chwały nowych Błogosławionych — radością brzmi ziemia, bo zyskała nowych orędowników przed tronem Najwyższego. A do tego olbrzymiego hymnu chwały, jaki płynie z ziemi w niebo przyłączyły się nowe głosy central-

nego domu w Krakowie na Stradomiu z okazji uroczystości beatyfikacyjnych w dniach 21, 22, 23 maja.

Do uświetnienia uroczystości przyczyniły się wspaniałe obrazy naszych Błogosławionych, pendzla profesora Batowskiego ze Lwowa, wielkości 2·25 m × 1·37 m. Zawieszono je w niszach filarów u wylotu presbiterjum, na specjalnie przyrządzonych rusztowaniach i przystrojono w purpurowe draperje, pęki bzów, hortensyj, palm i piwonij. Po stronie ewangelji umieszczono bł. Michała Ghebre, apostoła abisyńskiego. Przedstawiony jest w postawie stojącej, z krzyżem i palmą męczeńską w lewej ręce, a prawą trzyma wzniesioną do błogosławieństwa. W głębi stoi Chrystus, którego tak mężnie wyznawał wobec prześladowców, a z drugiej strony klęczy bp. Justyn de Jacobis, który nawrócił na prawdziwą wiarę błogosł. męczennika. Drugich dwóch męczenników Ludwi-François i Jana Gruyer przedstawia obraz po stronie epistoły. Obydwaj w postaci klęczącej. Pierwszy zapatrzony w niebo wznosi ręce w górę; drugi, przyciskając jedną ręką ewangelję do serca, odpycha drugą bezbożną konstytucję. Na drugim planie stoi św. Wincenty z oczyma utkwionemi w niebo, a wskazując ręką na swych synów, zdaje się prosić za nimi.



Błog. Michał Ghebre.

Uroczystości rozpoczęły wstępne nieszpory z wystawieniem Najśw. Sakramentu w sobotę 21 maja, które w licznej asyście celebrował ksiądz Superjor Weissmann. Czcigodny

Celebrans dokonał najpierw poświęcenia obrazów, a potem przy wtórze „Serdeczna Matko“ ruszyła procesja z Najśw. Sakramentem. Tłum zebranego ludu podchwycił słowa pieśni i całą duszą śpiewał na cześć Bogarodzicy, poczem złocista monstrancja stanęła w powodzi świateł na ołtarzu, otoczona wkoło czarowną glorją nieuchwytnych blasków. Nastąpiły nieszpory o błog. Michale i nabożeństwo majowe, w czasie którego ks. Dewor odczytał breve Ojca św. w sprawie beatyfikacji naszych Błogosławionych. Ojciec św., przedstawiwszy w pięknych słowach wielkość błog. Michała Ghebre, jego zapał do nauki, jego miłość prawdy i żelazną wytrwałość w szukaniu jej, jego niestrudzoną działalność misyjną przy boku biskupa Justyna de Jacobis, jego cierpienia i śmierć męczeńską, oraz przebieg procesu beatyfikacyjnego, tak konkluduje: „Wobec tego, powodowani prośbami całej duchownej rodziny Zgromadzenia Misji św. Wincentego a Paulo, naszą apostolską powagą, niniejszym listem pozwalamy, aby chwalebny sługa Boży Abba Ghebre Michaël, kapłan Zgrom. Misji, nazywał się na przyszłość Błogosławionym; aby jego ciało, czy też relikwje, jeżeli jakie istnieją, były wystawione ku czci publicznej, z wyjątkiem obnoszenia ich w uroczystej procesji i aby obrazy jego były otoczone aureolą. Nadto tąż powagą naszą, pozwalamy, by o nim odmawiano officium i odprawiano Mszę św., według rubryk mszalnych i brewjarza rzymskiego etc.“

Podobne orzeczenie wydano i o Błogosławionych męczennikach Ludwiku François i Janie Gruyer.

Nazajutrz ranną prymarję o godzinie $5^1/_2$ celebrował ks. Superjor Weissmann. Wotywę o godz. $8^1/_2$ ks. L. Świerczek. Uroczystą sumę z wystawieniem Najśw. Sakramentu odprawił Przew. ks. prałat Ślepicki, w czasie której chór kleryków, przy współudziale studentów Małego Seminarjum, pod kierownictwem dyr. Wallek-Walewskiego, wykonał poraz pierwszy w Polsce mszę paschalną „De Resurrectione Domini Nostri Iesu Christi“ Bartł. Pękiela, w opracowaniu ks. Dra H. Feichta, obecnie dyrektora naszego Małego Seminarjum

we Wilnie. Dostojne, grzmiące akordy XVIII. w., stylizowane przez naszego księdza Konfratra, runęły z siłą górskich potoków pod sklepienie świątyni, kłębiąc się w burzliwej wichurze — to znów przechodziły w subtelne, lekkie jak tchnienie pianissima, unosząc w przestworza perlistą, mistyczną, anielską harmonję dźwięków. Kazanie o błog. Michale wygłosił O. Janicki. Kaznodzieja podał krótki rys życia naszego Męczennika, podkreślił heroizm jego cnót chrześcijańskich, jego pracę, walki i cierpienia; zaznaczył, że powinniśmy w nim mieć nietylko orędownika przed Bogiem, lecz także wzór, według którego mamy kształtować swe życie, aby osiągnąć zbawienie. Wreszcie zakończył modlitwą do błog. Michała, aby się wstawiał u Boga za swą Ojczyzną, za Zgromadzeniem i wyjednał, by miłość krzyża i cierpienia zapanowały wśród ludzi.



Błog. Ludwik François i Jan Gruyer.

Po południu nieszpory z wystawieniem Najśw. Sakramentu i nabożeństwo majowe celebrował uroczyście Przew. ks. kanonik Podwin. Kazanie z zapałem wypowiedział ksiądz Van Roy. We wstępie uwydatnił wartość męczeństwa, które stwierdza żywotność Kościoła i prawdziwość wiary katolickiej; następnie na tle rozpasania rewolucji francuskiej naszkicował świetlane postacie Ludwika François i Jana Gruyer, przedstawił ich wytężoną pracę dla sprawy Bożej, ich ofiarną mimo niebezpieczeństw, a także owocną działalność misyjną przez cały czas, dopóki nie padli na posterunkach, jako ofiary

krwiożerczych instynktów tłumu. Wreszcie wskazał kaznodzieja, że od tych Błogosławionych należy czerpać jak najwięcej męstwa do walki z pokusami i fałszywymi apostołami, którzy sieją kąkol na niwie Bożej"; a tak przez męczeństwo życia zasłużymy sobie na zbawienie wieczne.

W ostatni dzień uroczystości — w poniedziałek dnia dnia 23 maja, prymarję z wystawieniem Najśw. Sakramentu o godzinie 5½ rano odprawił ks. prefekt Pawellek. Wotywę o godz. 8-mej ks. superjor Weissmann. Chór odśpiewał mszę Vrankena „In honorem S. Catharinae". Zakończeniem uroczystości były nieszpory uroczyste z wystawieniem Najśw. Sakramentu i nabożeństwo majowe, celebrowane przez ks. sup. Weissmanna. Krótkie kazanie dziękczynne wygłosił Najczcig. ks. Wizytator, poczem nastąpiła procesja z Najśw. Sakramentem. Potężnym finałem nabożeństwa było odśpiewanie „Te Deum". Majestatyczne, radością nabrzmiałe dźwięki hymnu św. Ambrożego kładły się na roztęczone mgławice kadzideł i płynęły zgodną falą do stóp wystawionego na ołtarzu Zbawiciela...

W ten sposób święciliśmy uroczystość tę ku wielkiemu pożytkowi duchowemu nas i wiernych, którzy licznie przez wszystkie trzy dni gromadzili się w naszej świątyni.

Zakończenie Roku szkolnego.

Zwyczajnem zakończeniem naszych dni szkolnych są egzamina. — Rozpoczęła je klasa ósma egzaminem maturycznym, który się odbył dnia 17 czerwca, pod przewodnictwem wizytatora szkolnego p. Pasowicza; egzamin wypadł pomyślnie dla wszystkich siedmiu kandydatów. (Klerycy: Dziedzic Tadeusz, Kopyto Roman, Płonka Emanuel, Żądło Piotr, Łukaszek Edmund, Czapla Wacław, Cymbrowski Marcin). — Klasie szóstej i siódmej przyznano na próbę egzaminacyjną środę i czwartek 22 i 23 czerwca; zaraz nazajutrz

i w dzień następny poddała się takiejże próbie nasza teologja: rok III., II. i I. — Wyniki egzaminów na ogół pomyślne, otwarły upragnione dla wszystkich już, bramy do 2-miesięcznych wakacyj.

Cudowny Medalik M. B. na chorągiewce wieży Marjackiej.

Dzienniki ostatnich dni doniosły o ciekawem odkryciu, jakie zrobiono, badając zawartość gałki, zdjętej z niższej wieży kościoła Marjackiego w Krakowie. — Na samej mianowicie chorągiewce, już nad gałką znaleziono medalik Cudowny, wybity w r. 1838, z napisem polskim. Dowodzi to szybkiego rozpowszechnienia się medalika, skoro już w 1838 znany był u nas, a może nawet wybijany. Data objawienia Siostrze Katarzynie Labouré odnosi się do r. 1830. Na natarczywe żądanie S. Katarzyny pojawiły się pierwsze Cudowne Medaliki w czerwcu 1832 r., wybite w pracowni rytownika Vachette'a.

Medalik na szczycie wieży Marjackiej umieściły niewątpliwie wdzięczne ręce zajętych niebezpieczną robotą pracowników blacharskich. Według podpisu wyrytego na puszce miedzianej, byli nimi: „Franz Lutzian Lewalski, Marcin Sobolewski, towarzysz kotlarski“. — Sercem wszystkich świątyń krakowskich jest czcigodny wiekiem, tradycją, kościół Marjacki. Na tem sercu zawisł, jako ustawiczne wołanie o „cudowną“ opiekę Matki Bożej nad miastem i krajem, już w r. 1838 „Cudowny Medalik“.

Zakład ks. Siemaszki — Poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy Zakład.

Dnia 26 czerwca o godzinie 11-tej odbyła się za rogatką Białego Prądnika, na gruntach dawnej miejskiej szkółki drzewek, piękna uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego

pod nowy Zakład imienia ks. Siemaszki. Dotychczasowy Zakład przy ul. Długiej (180 chłopców), wraz z rozbudowaną już w ostatnich latach filją w Czerny (140 wychowanków), okazał się za szczupłym. — Aktualna w ten sposób sprawa budowy nowego Zakładu przybierać zaczęła kształty realniejsze, kiedy gmina stołecznego miasta Krakowa ofiarowała dzięki życzliwości rady miejskiej, a zwłaszcza prezydenta jej p. inżyniera Rollego, przeszło morgowy teren pod nowy gmach. Zapewniwszy sobie pożyczkę hipoteczną, rozpoczęto budowę w pierwszych dniach czerwca, pod kierunkiem arch. p. Piwowarczyka. Budynek dwupiętrowy, wolno stojący, ma 36 m. frontu, a na 47 m. sięga w głąb; pomieścić może 250—300 chłopców osieroconych. Plan budowli centralny, w ten sposób obmyślony, że wytworzone przez ten system podwórze, będzie kryte dachem szklanym, mogąc w ten sposób służyć na salę zabaw, teatrów i rekreacyj. — Kosztorys obliczony jest na 600 tysięcy złotych.

Uroczystość poświęcenia, której dokonał Najprzewieleb. ks. biskup Rospond, zgromadziła oprócz władz rządowych i samorządowych licznych przyjaciół Zakładu. — W przemówieniu swem powiedział ks. biskup, że kościół chętnie błogosławi, a przedewszystkiem pracy nad wychowaniem młodego pokolenia. „Gdy źdźbło zboża zdepczą stopy przechodnia, roślina się nie rozwinie. Gdy wicher połamie młode drzewko, ono już nie wyrośnie. — Podobnie i młodzież pozbawiona opieki musi zmarnieć, bo takie jest prawo młodości, że musi być otaczana opieką i sercem. Naprzeciw tej młodzieży sierocej, miotanej nędzą życiową, wyszła litość chrześcijańska w osobie ks. Siemaszki, który otwarł dla niej jeden pokoik; z tego ziarna wyrósł jeden Zakład i drugi — a dziś poświęcamy fundament trzeciego. — Chcę tutaj wyrazić ogromne uczucie wdzięczności dla Zgromadzenia Księży Misjonarzy i słowa uznania dla ich cnót wobec Boga i ludzi, a zwłaszcza dla godnego następcy ks. Siemaszki i obecnego dyrektora zakładu ks. Lorka, za jego energję i troskę o wychowanie sierót. — Niech Bóg błogosławi nowemu zakładowi, niech



Projekt Zakładu im. ks. Siemaszki w Krakowie.

tu panuje atmosfera słoneczna, jak dzisiejszy, pogodny dzień". Następnie przemówił p. prezydent Rolle. „Socjalne potrzeby miasta leżą prezydjum przedewszystkiem na sercu, a w tem na pierwszem miejscu los sierót, które życie rzuciło na bruk. Opieka zakładów prywatnych jest wydatniejszą od tej w zakładach miejskich. Obecny kierownik Zakładu imienia ks. Siemaszki, swym uporem delikatnym, a zwłaszcza sercem wielkiem sprawił, że utopja i himera nowego zakładu zamienia się dziś w rzeczywistość, przemawiającą do nas murami realnemi. Budując na pełnem zaufaniu, jakie mam do zakładu, któremu przypatruję się już od lat kilku, ufam, że wszystkie nadzieje, jakie pokładamy w nowym zakładzie, ziszczą się. — Następnie p. prof. Pachoński oddał hołd należny godnemu następcy ks. Siemaszki, poprzedniemu dyrektorowi zakładu, a dzisiejszemu wicewizytatorowi w Brazylji, ks. Rzymełce, który niewątpliwie sercem całem jest tu dzisiaj obecny.

Wielkie wrażenie zrobiło przemówienie jednego ze starszych wychowanków zakładu, któremu matkę rozszarpał granat, a ojciec-żołnierz padł na wojnie. Sierota zaznaczył, że takich jest wielu, i że dla nich zakład jest domem rodzinnym, a przełożeni zastępują ojca i matkę.

Największy sukces odniosło wierszowane przemówienie najmniejszego z wychowanków z Czerny, 10-letniego Jaremczaka; przy wtórze akordów poważnego „Gaude mater Polonia", wykonanego przez 12-tkę „Echa" pod kierownictwem p. dyr. Wallewskiego, oddeklamował on następujący wierszyk:

Przybyliśmy z Czerny na to wielkie święto,
Bo wielkie dzieło dziś tu rozpoczęto:
My przedstawiciele Czerneńskich chłopaków,
Wszak nowe dla nas gniazdo buduje tu Kraków.
Najpierw do Boga wznosim pokorne wołanie:
Błogosław tej pracy, niech gmach prędko stanie;
Niech rozspostrze swe skrzydła na wschód i na zachód,
Niech zmieści jak najwięcej nas polskich biedaków.
A Wam zgromadzonym niech będzie cześć, chwała,
Oby Wasza ofiarność nadal nie ustała.
Raczcie więc zacni Goście przyjąć dziś hołd wierny
Od wdzięcznych wychowanków Krakowa i Czerny.

Uroczystość zakończył po mistrzowsku wykonany marsz orkiestry bursy rękodzielniczej ks. Kuznowicza, który wraz z delegacją wychowanków wziął udział w poświęceniu bratniego zakładu.

Do Szanownych Czytelników „Roczników".

1) Redakcja prosi o łaskawe wyrównanie prenumeraty, z którą **zalega połowa czytelników.**
2) „Roczniki" będą odtąd wychodziły regularnie co kwartał.
3) Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.). Numer pojedynczy 3 zł. Wpłata na konto czekowe 150.142, ks. Król. Kraków.
4) Uprasza się księży konfratrów o nadsyłanie artykułów odpowiednich do „Roczników"; zwłaszcza księży superjorów o „kroniki domowe", dyrektorów misyj o sprawozdania z tychże etc., etc.
4) Sekretarjaty **wszystkich** trzech prowincyj SS. Miłosierdzia, prosi redakcja o łaskawe sprawozdania z pracy Sióstr, nekrologi zmarłych Sióstr i t. d.
6) W latach 1916, 1917, 1918, 1919 nie wyszedł żaden numer „Roczników". W 1920 i 1921 po 4 numery, w 1922 dwa numery, w 1923 i 1924 po jednym numerze, w 1925 r. dwa numery.